

KONSTANTY WOJCIECHOWSKI

BOLESŁAW PRUS

WYDANIE IV

ZE SŁOWEM WSTĘPNYM

JÓZEFA KALLENBACHA



LWÓW 1939

NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA



17131

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE

SŁOWO WSTĘPNE

Powieść polska należała do najwięcej umiłowanych przedmiotów badań Konstantego Wojciechowskiego. Od lat dwudziestu interesował się on żywo zagadnieniami społecznymi w powieści polskiej i najwidoczniej zmierzał do ujęcia monograficznego powieści w osobnej książce. Jako badacz sumienny polegał przede wszystkim na własnym przetrawieniu głównych epok powieści polskiej i głównych jej przedstawicieli; nie dziwnego zatem, że Bolesław Prus stał się od lat przeszło dziesięciu ulubionym jego autorem; owocem duchowym tego umiłowania — to właśnie książka o Prusie wydana w r. 1913 w Bibliotece Macierzy Polskiej, a ukazująca się obecnie w tym oto wydaniu czwartym. Jeśli się zważy charakter wydawnictw *Macierzy Polskiej*, zakres jej działania i doniosłość tego działania, to można bez cienia przesady powiedzieć, że niewielka rozmiarami książka Wojciechowskiego o Prusie jest nieprześcignionym dotychczas wzorem monografii popularnej, jasnej, przystępnej, a zarazem stojącej na wysokości badań ścisłych. Kto jeszcze nie czytał Prusa, ten z tej monografii dowie się szybko i w sposób najbardziej zajmujący, kim był

Prus w Polsce i dla Polski w latach jej ucisku; kto zaś zna Prusa na wylot i zgłębił wszystko, co u nas o Prusie wydrukowano, ten przyzna, że mamy wprawdzie analizy wartości *Lalki* lub *Faraona* bardziej szczegółowe, nawet drobiazgowo, że jednak nikt nie objął ducha Prusa tak wszechstronnie, a zarazem miłośniczo, jak to właśnie uczynił K. Wojciechowski w niniejszej małej monografii. Jak się to stało? Nie tak prosto i nie tak łatwo, jakby sobie niejeden wyobrażał. Sam Wojciechowski pisał rzeczy «gruntowniejsze», bardziej metodyczne, więcej naukowe niż ta mała książka o Prusie. Ale pisał je właśnie z pewną «preokupacją» jakby «z urzędu», z ciągłą kontrolą swej metody i swej analizy. Tak było np. z monografią o Ign. Krasickim, kiedy w końcowych uwagach zwierzał się czytelnikowi: «Łatwiej scharakteryzować Krasickiego jako artystę niż jako człowieka. Zdaje się nieraz, że już znaleźliśmy klucz do zrozumienia jego duszy, że poczyną być dla nas jasny i typ umysłowości i rodzaj reagowania na rozmaite kategorie wzruszeń, że już wczuliśmy się w poetę, wniknęli nie tylko w jego intencję i odczucia, ale i w sposoby ujawniania ich takie, a nie inne, kiedy jedna refleksja, jeden półuśmiech, jeden gest księdza biskupa psuje nam naszą konstrukcję i każe r o z p o c z y n a ć p r a c ę n a n o w o».

Otóż podobnych wątpliwości zasadniczych nie mogło być i nie było wobec Prusa. Przede wszystkim

dla Wojciechowskiego był Prus stokroć bliższy, prostszy, jaśniejszy — Krasicki zaś oddzielony od autora monografii stu kilkudziesięciu laty, trzema rozbiorami, trzema rewolucjami, «ma dwa oblicza», które Wojciechowski pilnie bada, wyróżnia, przy pomocy setek rozpraw analizuje i studiuje, aż w końcu dojdzie, dlaczego ta «poetza intelektualisty nie wzrusza, ale budzi podziw umiejętnym zużytkowaniem wszystkich dostępnych poecie środków artystycznych». Porozumienie więc z Krasickim było nie tak łatwe, jak z Prusem. Krasicki budził podziw, a Prus budził miłość. Między twórczością Prusa a organizacją duchową Wojciechowskiego zadzierzgał się od razu stosunek serdeczny, nie zaś tylko wymagane od krytyków «współczucie psychologiczne». Po prostu mówiąc, były to natury sobie pokrewne. Znałem dobrze Prusa w różnych latach mego przebywania w Warszawie; poznałem też dobrze Konstantego Wojciechowskiego w ciągu lat dwudziestu, od r. 1904 we Lwowie. Śmiem twierdzić, że K. Wojciechowski dlatego tak całkowicie, bez reszty, wchłonął w siebie twórczość Prusa i przetrawił ją na użytek współbraci bez jakiegokolwiek tendencyjnego zabarwienia — że patrzył na wszystko tak, jak i Prus, *sub specie polonitatis*! Na tej podstawie duchowej i plemiennej wspólnoty wyrosło to wyjątkowe odczucie wszystkich drgnień najskrytszych autora *Lalki* czy *Emancypantek*.

Nie wiem na pewno, czy Konst. Wojciechowski

poznał osobiście Prusa? Gdyby nawet nigdy go nie widział, nie obniżyło by to w niczym stopnia wrażliwości i odczucia u Wojciechowskiego. Między Lwowem a Warszawą przed rokiem 1914 mogły być napięte niewidzialne druty, po których przebiegały fale serdeczne, a to w myśl owych nieśmiertelnych wierszy:

Jeżeli wolność czuć i kochać umiesz
W naszej rozmowie nie potrzeba słowa:
Ja twe westchnienia, ty me lzy rozumiesz —
I dłoń uściśniesz — oto polska mowa!

Otóż taką to polską mową rozmawiają ze sobą w tej książce Prus i K. Wojciechowski. Czuli słuchacz podslucha tu niejedno słowo niewydrukowane... «ja twe westchnienia, ty me lzy rozumiesz...» A taki niepochwytany, ale wyczuty sercem dialog dwu pisarzy, dwu pokoleń polskich z lat pogrobowych, starczy za wszelkie wywody literackie.

Konst. Wojciechowski miał rzadki u nas dar ujmowania problemów skomplikowanych w sposób równocześnie: jasny i zwięzły. Nie znać na jego stylu Horacjuszowych wątpliwości: *brevi esse laboro, obscurus fio*. Mówiąc jego słowami: była w nim wirtuozyja «nie kunsztu, trudem zdobytego, lecz wytwornej prostoty».

Ten znakomity pedagog i badacz naukowy w jednej osobie, równocześnie zaś społecznik niestrudzony, dla którego niedziela na to była, aby «Macierzy Polskiej»

mógł ją oddać — miał — jakimś cudem — czas na wszystko, i mnożył się jeden przez czyny żyjące. Tymi czynami żyjącymi były rzesze młodzieży jego duchem krzepionej; te rzesze przekażą kiedyś dalszym pokoleniom Polski wolnej, ile zawdzięczały Konst. Wojciechowskiemu.

Studium niniejsze o Prusie, to zaledwie cząstka, to jakby próba zachęty dla tych, co powinni poznać się z całym dorobkiem, całą puścizną duchową autora znakomitego studium porównawczego nad *Panem Tadeuszem* w stosunku do Waltera Scotta. Daleki od szablonu, K. Wojciechowski nie pisał według jakiegoś narzuconego sobie schematu stałego, ale w każdym historyczno-literackim zagadnieniu podejmował trud oryginalny, głęboko przemyślany, nigdzie samego siebie nie kopiując. Wystarczy np. porównać niniejszą książkę o Prusie z monografią o Krasickim, aby przekonać się naocznie, jak odmienny tu a tam sposób portretowania, zależnie od tła epoki i od swoistości typu portretowanego. Przy tym nie można zapominać o datach wydania studiów: K. Wojciechowski pracował nad sobą bez wytchnienia, aby nie rzec bez litości; rozwijał się ciągle i nie miał ani czasu ani ochoty spoczywania «na laurach». Mało komu w życiu przyświecała tak stale wiodąca go w górę gwiazda: *excelsior!*

Nie każdy zdobędzie się na tak ascetyczne zaparcie się wszelkiej radości życia, byle oddawać się

całkowitemu spalaniu się aż do tchu ostatniego na codziennym ołtarzu obowiązku. Zwoje porozpoczynanych, wykończonych lub bliskich ukończenia prac, wpijały się w mózg jego i serce, nie puszczały go, przytrzymywały do ukochanej gleby ducha polskiego. Ból musiał być nadludzki, gdy rosła świadomość nieubłaganego rozstawania się z doczesnym dorobkiem lat wielu: wszak więcej jeszcze zamierzał napisać, niż to, co zdążył wydać... Inni odchodzą nieraz wyczerpani, wyssani, jakby bez kropli treści duchowej. On zaś był jak jabłoń, czerwieniejąca się rzęsnymi owocami, bezlitośnie przepiłowana u samych korzeni.

Ale zakończenie tej książki o Prusie może i powinno być zastosowane do jej autora, do Konstantego Wojciechowskiego.

Józef Kallenbach

I

Pokolenie po roku 1863. — Młodość Bolesława Prusa. — Czego Prus żądał od społeczeństwa. — Pierwsze obrazki. — Dlaczego śmiejemy się czytając opowiadania Prusa? — Humor Prusa. — Współczucie z cierpiącymi.

Upadek powstania z roku 1863-go był dla społeczeństwa polskiego ciosem. «Popalone siola, rozwalone miasta», zginęły nie tylko kłosa, lecz i ludzi padły tysiące, stracono ostatki swobód na wielkim obszarze ziem polskich. Ale w społeczeństwie była żywotność, skoro z przygnębienia otrząsnęło się rychło i poczęło badać, co spowodowało pogrom, i co czynić, by go uniknąć na przyszłość. Czy dobrą obraliśmy drogę, czy mamy kroczyć nią nadal? Może ruchy zbrojne, nieprzygotowane należycie, były lekkomyślne, może o czym innym wprzód należało pomyśleć, nie o powstaniu? I zjawiała się odpowiedź twarda, bolesna, ale uznana przez współczesnych za jedynie trafną: upadliśmy, bośmy nie dorośli jeszcze do niepodległości. Kto chce być wolnym, musi się wprzód odrodzić wewnętrznie, wyrobić w sobie hart, wolę silną, cnotę karności, posłuszeństwa, musi okazać, że jest zdolnym do stworzenia silnego rządu. Kto chce zdobyć wolność, musi działać jednolicie, solidarnie: szlachcic, chłop, mieszczanin muszą iść razem w zwartym szeregu. Trzeba więc wprzód, by każdy mówiący po polsku poczuł się Polakiem, a do tego znów trzeba oświaty,

długiej i mozolnej pracy nad uświadomieniem narodowym najszerszych warstw. I jeszcze czego innego potrzeba: dobrobytu. Nędza nie wyda owoców błogosławionych, głodny nie o wolności marzy, lecz o chlebie.

Poczyna więc to pokolenie, które widziało bój i klęskę roku 63-go, myśleć chłodno, trzeźwo. Przyczyniają się zaś do wyrobienia owego «trzeźwego» poglądu na stosunki i inne także czynniki, przede wszystkim zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie ludu (w Królestwie Polskim w roku 1864). Nastaje przewrót w stosunkach gospodarczych, pieniężnych, niejeden, co żył w dostatkach, widzi, że jeśli nie zakasze rękawów do pracy, grozi mu ruina, że nawet i praca go nie ocali, jeśli nie będzie oszczędzał.

Tak powstaje hasło p r a c y, pracy «od podstaw», «organicznej» — jak wówczas mówiono. Nie ruchy zbrojne — wolano — zbawią nas, lecz znojni, codzienny trud. Młoty w ruch! Nie mamy własnego przemysłu — stworzyć go, nie mamy fabryk — zakładać je co rychlej, nie umiemy dobrze uprawiać ziemi — uczyć się tego, choćby od wrogów, a przy tym oświecać siebie i innych.

«Trzeźwość» w myśleniu wyrabiały we współczesnych także dzieła obcych uczonych, w których wówczas zaczęto się rozczytywać. Pod wpływem tych dzieł poczęli młodzi uznawać tylko to, co się da sprawdzić doświadczeniem i rachunkiem, a odrzucać wszystko, czego przy pomocy tych dwóch środków stwierdzić nie potrafimy¹⁾.

¹⁾ Powoływano się zwłaszcza chętnie na dzieła filozofa francuskiego Comte'a. Zwolennicy jego zwali się pozytywistami.

I szli jeszcze dalej. Pytali: po co istnieje poezja? Żeby nas zachwycać, rozmarzać? W takim razie szkoda czasu czy na pisanie wierszy, czy dramatów, czy powieści. Wszystko, co robimy, powinno być użyteczne, poezja ma nie roztkliwiać, lecz u c z y ć, społeczeństwo powinno mieć z niej korzyść.

Starsze pokolenie nie godziło się jednak na takie hasła, uważało je za zbyt jednostronne, a wówczas zawrzała walka. Toczyła się na łamach ówczesnych czasopism warszawskich. Młodzi walczyli w «Przeglądzie Tygodniowym», ogłaszając tam swe odezwy, czasem bardzo namiętne, bezwzględne, a gdy im zarzucono zbytnią trzeźwość, odpowiedzieli, że taki zarzut może uczynić tylko nałogowy pijak. O porozumienie było trudno.

W czasie, gdy «Przegląd Tygodniowy» zaczął wychodzić (1866), Aleksander Głowacki (znany powszechnie pod imieniem Bolesława Prusa) kończył gimnazjum lubelskie. On sam później tak przedstawiał grono młodzieży, do którego należał, i siebie z tych czasów:

«Głowacki uczęszczał do szkół od r. 1856 do 1866, co już wskazuje, że należał do tej interesującej grupy młodzieńców, która w poziomym języku profesorów nazywała się próżniakami i urwisami. Takim było prawie całe ówczesne pokolenie... Uczyli się lekcji niezbyt chętnie, dokazywali okropnie, chociaż bardzo rzadko złośliwie... Mile te chłopaczki tylko w czasie pauzy znajdowali się na środku klasy; lecz podczas lekcji cała gromada tak dokładnie kryła się gdzieś w ostatnich ławkach, że trzeba ich było szukać, jak szpilkę w stogu. Dodajmy jednak, że nadmiar sił, na który chorowała ówczesna młodzież, objawiał się także prędkim uczeniem

się lekcji, łatwym przygotowaniem się do egzaminów i pracą wybiegającą poza ramy szkolnego programu. Trudno opowiedzieć, ile energii, inteligencji, zapału i najszlachetniejszych uczuć płynęło w tej dzielnej młodzieży. A ile tam było wiedzy i pracy! Czytano nie romanse, jak w niższych klasach, ale ekonomię, statystykę, historię filozofii... Rozprawiano o Bogu, duszy, czasie i przestrzeni, o nadużyciach szlachty, nędzy chłopów, położeniu Żydów itd. Godnymi uwagi były potężnie rozwinięte wśród tych chłopców instynkty społeczne..., każdemu chodziło «nie tyle o karierę osobistą, ile o oddanie największych usług społeczeństwu».

«Wśród tej młodzieży, kipiącej życiem Głowacki (Prus) był nie gorszy i nie lepszy od innych, tylko trochę starszy i doświadczeńszy. Był to fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych. Więc wykładał na prawo i lewo, że wszystko jest głupstwem i kłamstwem, czego nie można wyliczyć i zważyć...»

Przeto w szkole już, jak ze słów tych widoczne, szła młodzież, a z nią Prus, za prądem ogólnym, chciała «liczyć, ważyć», wierzyła tylko doświadczeniu i rachunkowi, a przy tym marzyła o takim przekształceniu społeczeństwa, by zniknęła nędza chłopska i by chłop poczuł się obywatelem. Każdy też pragnął stać się w przyszłości użytecznym ogółowi.

Po ukończeniu gimnazjum przeszedł Prus do warszawskiej Szkoły Głównej, zapisał się w niej na wydział matematyczny i oddawał się tu z zapałem matematyce, naukom przyrodniczym i filozofii. Wówczas też zaczął pisać, ale bynajmniej nie powieści; przeciwnie, w «Przeglądzie Tygodniowym» drukował poważne sprawozda-

nia z współczesnego ruchu umysłowego, po czym w innych pismach rozprawy naukowe z rozmaitych dziedzin. Na niedomagania społeczeństwa polskiego zwrócił uwagę w artykule pod napisem «Nasze grzechy». Cóż to za grzechy? Jednym z najcięższych jest próżniactwo, dalej życie nad stan (skąd długi i ruina), następnie brak pracy wytwórczej, niechęć do przemysłu i handlu, brak wykształcenia zawodowego i rolników itd. Jakaż na to rada? Prosta: zamiana fraka na bluzę, szerzenie oświaty, szkoły zawodowe.

Ażeby go nie posądzono, iż co innego mówi, a co innego robi, Prus sam wstępuje wówczas do warsztatu i pracuje jako prosty robotnik niezmiernie pilnie. To się nazywa oblekać słowo w czyn.

Ale choć w tym, co głosił i czynił, szedł Prus ręką w rękę z «młodymi», walki ze starszym pokoleniem za przykładem towarzyszy z «Przeglądu» nie wszczynął. Inni na ustępujących z pola, znużonych i zawiedzionych ciskali klątwy, on na nikogo kamieniem potępienia nie rzucił. Za cóż by? Młodemu pokoleniu zazwyczaj trudno porozumieć się z starszym, ale czyż winą w tym tych, co w innych wyrosli warunkach i inaczej nauczyli się patrzeć na świat, ludzi i zadania człowieka? Prus zresztą zbyt kochał całe społeczeństwo, by mógł komukolwiek złorzeczyć, i zanadto umiłował sprawiedliwość, by miał popaść w stronnicze zaślepienie. «Wprawiajmy się — pisał — w oddawanie słuszności każdemu». Przywdział bluzę, ale na widok fraka nie wpadał w gniew, co najwyżej, gdy frak zdobył bankruta, uśmiechał się.

Chociaż jednak słowa chciał poprzeć czynem, nie było przeznaczeniem jego zostać majstrem fabrycznym,

ani dyrektorem fabryki. Zbyt już bowiem ceniono Prusa jako pisarza, dzienniki prosiły go o artykuły, o rozprawy, a on nie odmawiał. I to nie tylko dlatego, że go proszono, lecz że czuł potrzebę pisania. Ponieważ zaś w młodości swej był wesoły, dowcipny, pisał często wesoło i dowcipnie, a publiczność czytała wszystko, pod czym znachodziła imię Prusa, z wielkim upodobaniem. Zwłaszcza jego «Kroniki tygodniowe».

Treść tych «Kronik» była prawie zawsze poważna, sposób przedstawienia prawie zawsze żartobliwy. Poruszał w nich Prus rozmaite sprawy, ważniejsze i mniej ważne, sprawę włościan, rzemieślników i rzemiosł, Żydów, sprawę zdrowotności, dobroczynności publicznej itd. Czasem zdaje się, że rzecz jest bardzo blaha, że autorowi chodziło tylko o wywołanie śmiechu, tymczasem po przeczytaniu kroniki napływają myśli poważne i czytelnik widzi, że żartobliwość autora była tylko środkiem, który miał zachęcić do przeczytania artykułu.

Oto np. pisze Prus jakoby z Ameryki, z Filadelfii, i opowiada o rozmowie ze swym gospodarzem:

«Mały Tom Adams, syn mojego gospodarza, chodzi do szkół. W tym roku dostał promocję i wybił oko jednemu ze swych przyjaciół.

Wczoraj spotkałem go w sieni z paką książek i bukietem róż w rękach.

— Gdzie niesiesz te kwiaty? — spytałem go.

— Na sprzedaż.

— Na sprzedaż?!...

— Rozumie się!

— A ileż byś chciał za swój bukiet?

— Od was, jako od gentlemana, wezmę trzy dolary.

Zglupiałem. Ponieważ jednak za moją powieść wziąłem taką masę pieniędzy, że po prostu nie wiem, co z nimi zrobić, dałem mu więc trzy dolary.

Bezwstydy chłopiec wziął monetę, wrócił do mieszkania, oddał ojcu dwa dolary na rachunek stołu i stacji, zapłacił ogrodnikowi kilkanaście kopiejek za wzięty bukiet i poszedł do szkoły gwiżdżąc.

Oburzenie moje nie miało granic.

— Sir! — zawołałem do starszego Adams'a, który spokojnie żuł prymkę — czy wiesz, skąd twój syn wziął trzy dolary?

— Musiał je zarobić, ponieważ, o ile mi wiadomo, nie gra na giełdzie i nie kradnie — odpowiedział flegmatycznie ojciec.

Zdumienie moje nie miało granic, siadłem więc przy starym i spytałem:

— Powiedz mi, mój sir, jak się to dzieje, że wasze dzieci już w tak młodym wieku są handlarzami?

— Jak tam z innymi dziećmi — odparł Amerykanin — nie wiem; co zaś do mego Toma, robiłem z nim tak. Tłumaczyłem mu, że na świecie nic darmo nie przychodzi. Za powietrze i wodę płacimy gospodarzowi komorne, za stoły i krzesła stolarzom, za mięso rzeźnikom itd. Opowiadałem mu zaś tak długo, aż pewnego dnia roztropne to dziecko zapytało mnie:

— Sir Adams ojciec, powiedz mi, a skąd ty bierzesz pieniądze?

Wtedy opowiedziałem mu, że mając lat siedem czyściłem buty i zamiatałem korytarze w hotelu, potem byłem u szewca, potem zajmowałem się faktorstwem i na tym stanowisku zrobiłem miliónowy majątek.

— A czy ja, sir Adams ojcie, będę mógł mieć pieniądze? — spytał dobry Tom, mój syn.

— Będiesz, synu — odpowiedziałem mu. — Wyczyszczyć mi te oto buty, a dostaniesz za to dwa pensy, zaraz!...

Chłopiec buty wyczyścił, dwa pensy dostał i od tej pory wszedł na przyzwoitą drogę. Obecnie sprzedaje kwiaty, przytrzymuje konie gentlemanom, jeżdżącym wierzchem, i robi majątek. Placi mi za mieszkanie i życie, sam się oddaje do szkół, no! i uważam, że jest w ogóle dość praktycznym...

Skończył sir Dawid Adams ojciec, a ja pomyślałem: Mój Boże! nasze dzieci nieraz do 21 roku życia, a niekiedy i do końca życia nie znają wartości pieniędzy.

Z kolei począł mnie wybadywać mój gospodarz.

— Jakiego systemu macie plugi parowe pod Warszawą?

— Parowe?... różnych systemów, trafiają się jednak i czwórkowe — odparłem.

— Co to znaczy czwórkowe?

— To są takie, do których para wołów nie wystarczy i potrzeba aż cztery zaprzęgać.

— Ach!... A żniwiarki macie jedno czy dwukółowe?

— Żniwiarki mamy dwunożne.

— Czy w okolicach Warszawy mieszkają czerwonoskórcy?

— Sir, obrażasz mnie... — zawołałem. — Jesteśmy białymi bez żadnej przymieszki; ale rolnicy nasi są tak goli jak węże, nie mogą więc machin kupować.

— To nie stanowi! — odparł gospodarz. — We wsi Memfis, skąd jestem rodem, czterystu obywateli kupiło sobie na wspólnkę sześć plugów parowych, dziesięć mło-

carń i kilka tuzinów żniwiarek, którymi posługują się kolejno. Pod Warszawą mogliby zrobić to samo.

— A czy nie klóć się o to, u którego z nich ma pierwiej robić machina?

— Po co się klócić? Ciągną losy. Który z nich wyciągnie pierwszy numer, ten bierze pierwszy. Pod Warszawą mogliby zrobić tak samo.

— Zrobiliby to niezawodnie, ale jak już miałem honor powiedzieć, nie mają pieniędzy.

— Czy gentlemani pod Warszawą nie znają zupełnie monety?

— Owszem, znają, ale jej nie posiadają. Są bardzo zadłużeni.

Sir Dawid pohuśtał się na fotelu i rzekł:

— Ojciec mój miał majątek, wartujący 20.000 dolarów, a na nim 10.000 długów. Widząc, że rady sobie nie da, podzielił go na pięć części; cztery z nich sprzedał, spłacił dług i jeszcze 6.000 schował do kieszeni, na piątej zaś części gospodarował.

— Ojciec pański na owej piątej części musiał ciężko pracować?

— Tak! Sam wziął się do roli, żona pilnowała trzód.

Obraziła mnie ta historia, odparłem więc z dumą:

— Wierz mi, sir, że u nas każdy wolalby sobie w leb strzelić, niż narażać się na podobne upokorzenia!

— Próżniacy! — mruknął Amerykanin — co z angielskiego na warszawski język przetłumaczone znaczy: «wielcy panowie»...

Pozornie rozmowa powyższa ma tylko zabawić czytelników, w rzeczywistości jednak Prusowi nie

Bolesław Prus



o śmiech chodzi, lecz o sprawy bardzo ważne. Czegoż bo uczy Prus w przytoczonym artykule? Oto woła: zaprawiajcie młodzież do handlu, nie wstydźcie się pracy, poznajcie wartość pieniądza, pomyślcie o racjonalnej gospodarce rolnej, pomyślcie o zakładaniu spółek rolniczych; jesteście obdłużeni, weźcie się do rozumnej parcelacji, bo po cóż zarządzać majątkiem wierzycieli? I tak prawie w każdej z «Kronik» Prusa: zrazu śmiech, potem rozwaga, obudzona treścią wcale nie humorystyczną.

Nie inaczej także najczęściej w drobnych szkicach, obrazkach. Poczynamy np. czytać obrazek «Pod szych-tami»:

«Aj! rzęsiścież to kobiecisko nasza pani Maciejowa spod szychtów, aj, siarczyste! choć bez żadnej pretensji odziane. Gębę ma bo ma, jak cielęca wątróbka; na lbie czepec, żeby go się rak nie chwycił; na grzbiecie koszulinę, chlaśniętą od ramienia do ramienia, a spodnicę... ach!...

Siedzi sobie pani Maciejowa na belce i lata... ach! jak lata swój kraciasty, watowany kaftanik. Lata i klnie, klnie a wyśpiewuje, aż ryby uszu nadstawiają: Bodajżeś ty skisł, paro, nim mi cię Żyd sprzedał!... Bodaj w tobie psy topili, nimeś zaszedł do mnie na wielkie utrapienie moje!... Żebyś nie ty, dawno bym już ze dwa śmietniki do góry nogami przewróciła... Hu! ha... ha...»

Taki początek obrazka. Czytelnik rozbawiony... Ale czyta dalej i dowiaduje się, że «siarczysta» pani Maciejowa lata swój kaftan na śmietniku miejskim w Warszawie. Gdy woda na Wiśle przybiera, śmietnisko staje się sadzawką, gdy opadać pocznie — gnojowiskiem. A wśród tego gnojowiska znajdują się filtry wodociągów miejskich i studnie ściekowe. «Kanał, śmietnik i fil-

try — oryginalna trójca, która... objaśnia nie z y k ł a ś m i e r t e l n o ś ć Warszawy...»

Od «rzęsiściej» pani Maciejowej przeszliśmy do sprawy zdrowotności Warszawy. I już się nie śmiejemy. Myślimy o tym fatalnym zakątku, zatruwającym zdrowie tysięcy ludzi. A autor oprowadza nas dalej po złowrogim śmietniku, pokazuje w dzień i w nocy.

«Cyt!... Wśród martwych szmerów pustkowiecia uwydatniają się jakieś odrębne głosy, znamionujące życie i czucie. Słychać jakby chrapanie stłumione, gniewne... Coś jęko? To tylko nowa fala wiatru uderza o parkany, lecz zgrzyt, chrapanie i szamotanie rozlegają się wyraźnie i ciągle.

Dokoła coraz ciemniej. Wysmukłe słupy telegrafów sterczą jak szkielety szubienic, stopy belek przybierają postać mogił, a na szczycie jednej z nich, na tle mrocznego i ogromnego nieba... cóż to jest?...

To najnędzniejszy z nędzarzy, pies bez pana i dachu, targa kość wszczepioną między belki, jedyną, której nie pochwycili ludzie...»

Zupełnie przestaliśmy się uśmiechać.

Ale — widzimy — nie spotkaliśmy się bynajmniej z jakimiś skargami, roztkliwianiami się ani śladu. Tego bo Prus unika, jak unikało, strzegło się leżące całe młode pokolenie. Wskazać, co złe, by niedostatki usunąć, ale nie biadać, ręk nie łamać. Dość już próżnych żalów!

Stara się też Prus nie upiększać postaci, które przedstawia. Zależy mu na tym, by pochwycić znamienne zwroty, sposób mówienia różnych ludzi, bez względu na to, czy wyrażają się wytwornie czy rubasznie, by odtwarzać ludzi takimi, jakimi są. Oto w obrazku pt. «Wigilia» dorożkarz odwiedza dom ślepego starca,

swego sąsiada, by zaprosić go wraz z córką i wnuczką do siebie na wieczerzę wigilijną:

— To ja, sąsiad (*bodaj mnie roztratowali!...*) Niech będzie pochwalony...

— Pan Wojciech! — zawołała córka starca. — Na wieki wieków...

— Podaj opłatki, Haniu — rzekł starzec, wyciągając ręce.

— Bo ja tu, z przeproszeniem — mówił dorożkarz — przyszedłem państwa prosić do nas na wilię. Stara, panie, Zosia i reszta (*bodaj mi oś pękła na środku drogi*) wszyscy *hurmem* proszą. Oto co jest!

Przy tych słowach mówca *plunął przez zęby*.

— A, panie Wojciechu, jakżebyśmy też śmieli panu robić subiekcję?...

— Nic z tego (*bodajem onosacial!*) Nie odejdę bez państwa...

— Zawsze w domu... — mówiła nieśmiało kobieta.

— A cóż to w domu? Czy tu państwa kto *na kantarze trzyma*¹⁾ (*bodajem żydom wodę wozil!...*) czy co? — itd.

Ostatecznie starzec z córką i wnuczką idą do pana Wojciecha na wigilię i tam zastają całą rodzinę dorożkarza, a obok tego pana Władysława Dratewkę, starającego się o rękę córki Wojciecha, Zosi. Pan Dratewka w doskonałym humorze, żartuje nawet:

Jaka to szkoda (mówi do Zosi), że mnie majster wcześniej nie puścił.

— A *bo co?* — spytała panna Zofia.

— A *bo* bym pannie dopiero maku utarł... *ech!*

¹⁾ Kantar — rodzaj uzdy.

— Pan by nawet nie potrafił...

— *Mogiem żara szpróbować...* itd.

Prusowi chodzi zatem istotnie o to, by dawać wierne obrazy ludzi, choćby przy pomocy znamiennych wyrażen, jakich używają, sposobu mówienia, jakim się posługują.

Śmiechu zawsze u niego dużo. Dlaczego się śmiejemy? Są dwa powody. Śmie s z n e zazwyczaj są p o s t a c i, które Prus przedstawia (szmaciarka Wojciechowa, dorożkarz Wojciech, pan Dratewka), a czasem i p o ł o ż e n i e, w którym się znachodzą, nadto zaś Prus chętnie sam prawi d o w c i p y.

Odbywa się próba żniwiarek w Rakowcu. Chodzi o rozstrzygnięcie, czy żniwiarki krajowe mogą współzawodniczyć z wyrobami obcymi. Zjazd wielki, jedzie i szlachcic pan Walenty z parobczakiem Józkim, a ma do Rakowca kawał, bo 40 mil drogi. Nie żałuje więc, jak widzimy, czasu ni trudu, ale że zmęczył się bardzo (spieka!) wszedł po cichutku w lan zboża, by przed próbą zdrzemnąć się odrobinę.

Próba odbyła się, przyznano nagrody, przybyli rozjeżdżają się. «Turkoczą wozy i bryczki na odległym gościńcu, po polu wałęsa się tylko chłodny wiatr wieczorny. Ejże!... czy to tylko wiatr?...

— Józek!... Józek!... barania głowo, a co tu tak ciemno?... — huknął nagle potężny bas gdzieś między najgęstszą pszenicą.

— A bo już noc, panie! — odpowiedział młodzieniec w dość starannie polatanej sukmance i dość obficie wysmarowanych dziegiem butach.

— Noc! powiadasz, hultaju?... noc!... A dlaczegoś to ty mnie nie obudził, kiedy był konkurs? he?!...

— A kiej, panie...

— Milcz, gapiu!... Jakże ja się teraz do Warszawy dostanę?...

— Może by do dwora?...

— Nie głupim! Wolę już pójść piechotą... Ale słuchajno, gamoniu, jeżeli się kto dowie o tym, co się stało, to ci kości na nic pogruhoczę... Rozumiesz?...

— Kto się ta ma dowiedzieć!...

I poszli.

Tego jeszcze wieczoru przesadnym wieśniakom zdawało się, że widzą kopę pszenicy chodzącą po polu i mruczącą niezrozumiale dla nich zdanie:

— Było też po co o 40 mil przejeżdżać?!...

Pewno, że nie było po co, bo przespać dzień w pszenicy mógł pan Walenty i w domu. Ale też właśnie dlatego uśmiechamy się: śmieszne jest położenie, w którym znalazł się lubiący drzemkę szlachcic, śmieszniejsze zaś staje się przez to, że pan Walenty lęka się nie na żarty, by sąsiedzi nie dowiedzieli się o jego doświadczeniach z żniwiarkami.

Weźmy inny obrazek.

Jakub Kapłon, syn Moszka Kapłona, ogłosił pewnego razu krewnym i znajomym, że niebawem wyruszy do ziemi ojców swoich, do Jerozolimy. Że jednak Jerozolima znajduje się w rękach niewiernych, począł myśleć wprzód nad wyprawą przeciwko Turkom celem wypędzenia muzułmanów z Palestyny. Potem wszyscy Żydzi mogliby powrócić do swej kolebki. Myślał nad tym, myślał, aż raz, rozmyślając, usnął. Zasnawszy, miał widzenie. Oto Żydzi wyruszyli już za namową jego, Jakuba, w drogę ku Palestynie. «Kiedy spojrzął za siebie, zobaczył z jakie tysiąc furmanek odkrytych i zakrytych

i tyle wojska, jak piasku w morzu. Tymi, co szli piechotą, komenderował Szloma Abramson, który był (przedtem) cyrulikiem w prawdziwej piechocie, a tymi, co jechali wierzchem, komenderował Jasek Goldeygier, co sam był na poczcie i miał brata trębaczem u hużarów. Całe wojsko wyglądało bardzo porządnie, tylko że w kawalerii nie mieli dość inwentarza, więc jedni po dwóch i po trzech jechali na koniach, inni na krowach... Wędrowali tedy i wędrowali straszny kawał czasu, pytając chłopów o drogę, aż wreszcie przywędrowali do kraju górzystego i suchego, gdzie nie było ani miast, ani wsi, ani zbóż, ani lasów, tylko same osty i zielska kolczaste.

Wtedy Lajbuś spytał Nusyma, a Nusym rabina, a rabin Jakuba: «Co my tu będziemy robić?...» Ale Jakub nie odpowiedział nic, tylko przymknął oczy, zasłonił się lisią czapką od skwaru i udał, że śpi.

Gdy tak sobie udawał, poczęła się zwada i wrzask między wozami, bo nie wszyscy umieli po hebrajsku, a ci, co jechali na przodzie, nie mogli porozumieć się z tymi, co jechali we środku, ani z tymi, co jechali w tyle.

Zaraz potem zaczął się drugi wrzask, bo chałaciarze wymyślali surdutowym od kacerzy i gojów, a surdutowi chałatowym od łapserdaków.

A gdy jeszcze tamte dwa wrzaski nie ucichły, powstał trzeci, jeszcze większy. Wtedy zbudzono Jakuba i poczęto go prosić, aby radził, bo brakuje chleba. Ale Jakub jakoś nic wykręcić nie mógł, i dopiero Lajbuś wyratował go z kłopotu, podszeptawszy, iż dlatego nie ma chleba, że nie było żadnego targu, ani żadnych interesów.

W oka mgnieniu zrobiono targ. Ten wydobył z bryki płótno, ów sukno, inni nici i tasienki, a jeszcze inni stare meble i stare żelastwo. Wszyscy wołali: «handel! handel!», wszyscy dzień i noc wystawali przed sklepami — ale handlu nie było.

Wówczas rabin zaproponował, żeby zrobiono spis ludności; co gdy po wielu kłopotach doszło do skutku, okazało się, że w zgromadzeniu są kupcy, felczerzy, kottlarze, blacharze i nosiwody, ale nie ma chłopów i szlachty, więc nie ma komu pić wódki, pożyczać pieniędzy, a nade wszystko żyta, kartofli i cieląt przywozić na targ.

Wtedy powstał gwałt, jakiego nie słyszano dotychczas na świecie. Jedni radzili sprowadzić chłopów i szlachtę, drudzy wracać do nich, a wszyscy klęli, płakali i cisnęli się do wozu Jakuba, wołając, że ich oszukał i zgubił i że mu tego nie darują... Jakiś galgan zdarł Jakubowi lisią czapkę, inny ćwiknął go batem po uszach, jeszcze inny rozbił mu donicę na głowie... Był to dopiero wstęp, po którym rozległ się złowrogi okrzyk: Ukamienować go!...

Jakub upadł na pierzyny i wstrzymując dech, oczekiwał śmierci. Przez wpół przymknięte powieki widział, jak nad nim wznoszą się kije, garnki, stołki... i czuł, że najwyżej za ćwierć sekundy z niego, Jakuba Kapłona, który mógł zostać spokojnym handlarzem barchanu, zrobi się prawdziwy surowy, ale doskonale ubity kotlet...

Nagle wszystko ucichło... Jakub — przebudził się. Ale sen zrobił na nim wrażenie niemałe. Obciął pejsy i wziął się do handlu. «Cały dzień biegał po sklepie jak fryga, a gdy przyszło mierzyć barchan, na każdym lok-

ciu odejmował po ćwierci cala». O wyjeździe do Palestyny już nie wspomniał.

Dlaczego uśmiechamy się, czytając o Jakubie Kapłonie? Oto śmieszne jest położeⁿie, w którym znalazło się wojsko żydowskie wraz z swoim wodzem, ale śmieszny jest także sam Jakub, który w chwili niebezpieczeństwa (on, wódz wyprawy!) udaje drzemkę, potem wchodzi w pierzyny, a potem, przerażony widzeniem sennym, od razu zamiast szabli na Turków bierze łokieć i walczy nim, jak umie, nie domierząc po ćwierć cala.

Słowem łącz^y się tu śmieszność osoby z śmiesznością położenia tej osoby.

Powiedzieliśmy jednak, że Prus lubi zwiększać wesołość dowcipami, które wypowiada od siebie. O przykład nie trudno — dostarczy nam go opowieść o dzieciństwie Jakuba.

«Nie możemy — pisze Prus — oznaczyć bliżej daty i miejsca urodzenia naszego bohatera, okoliczności te bowiem są głęboką tajemnicą. *To tylko jest niezawodnym*, że w czasie spisku wojskowego na rok pański 1869 Jakub urodził się w Pińczowie i miał lat siedemnaście, zaś na rok 1870, ujrzał światło dzienne w Kocku i liczył dwadzieścia sześć wiosen z górą». (Dowcip polega tu na tym oczywiście, że Prus udaje, jakoby wierzył w podwójne urodziny Jakuba. Istotnie zaś chce dać do zrozumienia, że Jakub pofalszował metryki, aby wykręcić się z wojska). A dalej czytamy: «Początkową edukację pobierał (Jakub) w domu ojca, właściciela sklepu galanteryjno-korzennego, w którym z przedmiotów *galanteryjnych* znajdowały się trzy pudełka guzików, tuzin skórzanych *pasków* i dwie pary filcowych *butów*, z *korzeni* zaś pół beczki *śledzi* i kilka pu-

dów *mąki*. Nusym Goldwasser, biedak, któremu żona raz na tydzień dawała koszerne mięso i rybę, a raz na rok *robiła podarunek z bliźniąt*, wykładał Jakubowi rachunki na pieczonym grochu i historię ludu izraelskiego...» itd.

Na dowcipy nie potrzebował się Prus silić, płynęły mu one prawie mimowoli; czasem, opowiadając nawet bardzo poważne zdarzenie, nie potrafił powstrzymać się od żartu. Toteż wielu, biorąc do ręki pierwsze obrazki Prusa, czytało je po to tylko, by się śmiać. Ale ci naprawdę nie umieli czytać, chociaż bowiem wesołości w tych obrazkach dużo, rzadko tylko chodzi Prusowi wyłącznie o wywołanie śmiechu, najczęściej — jak zwracaliśmy na to uwagę — uśmiechając się, mówi Prus o sprawach bardzo ważnych.

Zajmuje się też już wówczas, w dobie młodości, cierpieniem ludzkim. Prawie zawsze jest to cierpienie niezasłużone, zabijające. «Lokator poddasza» murarz Jakub, przytłoczony nędzą, wiesza się. Helena Wilska, opuszczona przez męża, bo wzbudziła w nim namiętność inna kobieta, umiera z tęsknoty. Mąż wraca — po niewczasie. «Na niskiej, okrytej dywanem sofie, w czarnej wełnianej sukience, z krzyżem w głowach i świętym obrazkiem w rączkach, otoczone zapalonymi świecami, leżały zwłoki Heluni.

— Ach, biedactwo — opowiadała przybyłemu mężowi stara szafarka — a takie młode i mileńkie!... W ostatnim tygodniu powiedziała: Moja Borkosiu, wynieście mnie na górkę, stamtąd lepiej widać. I po całych dniach, mówię panu, nic — tylko słuchała, czy gdzie bryczka nie zatrajkocze, czy kto drzwiami nie skrzypnie. Ale że nikt nie jechał, ani wchodził, to mó-

wiła po cichu: Oj, już ja go widać nigdy nie zobaczę... Nigdy!...

Wyszła z pokoju i już za drzwiami kończyła:

— A światłość wiekuista niechaj jej świeci...

Wilski popatrzał na żółtą jak wosk twarz zmarłej, na ciemne jak glina powieki i ściskając ją za chłodne i zeszywniałe rączki, szepnął:

— Heluniu, to ja...

Zdawało mu się, że widzi żonę swoją w oknie górnego pokoju, nadsluchującą turkotu bryczki.

— Heluniu! to ja... — powtórzył. — Już jestem!... Spójrz na mnie...

«O, już go nigdy nie zobaczę!... nigdy!... — mówiło widmo.

— Ja przecież jestem, spójrz na mnie, Heluniu! — jęknął Wilski.

«Tak długo czekam i nie doczekam się nigdy!» — szlochało widmo, rozplywając się w mgłę.

Czy zasłużyła Helena na tak straszne cierpienie i na śmierć w kwiecie wieku?

Ale choć Prus z cierpieniem ludzkim współczuje, tych nawet, którzy cierpią, nie upiększa. Lokator poddasza, murarz Jakub, pije (ze zgrzyzoty), Jakubowa bije głodne dziecko za zjedzenie łupy z kartofli. Smutny świat.

Wobec grozy nieszczęścia znika nawet chwilowo uśmiech z ust Prusa.

Jest zdolny, niezwykle zdolny malarz Lachowicz (w powieści «Dusze w niewoli»). Niestety skrepowały go stosunki rodzinne, ma bowiem ojca pijaka i złodzieja, którego musi strzec przed więzieniem, i siostrę, którą w zastępstwie ojca musi się opiekować. Stąd ciągle nie-

dostatek, zaciąganie pożyczek u kolegów, czego następstwem znów nieprzychylny sąd o nim wśród tych, do których ciągle zwraca się o pieniądze. Czy oni wiedzą, na co on je obraca i dlaczego często oddać nie może?... Gdy zaś Lachowicz w dodatku nie przyjmuje pojedynku (cóżby się stało z siostrą, gdyby jego brakło!), ogół odwraca się od niego jako od człowieka bez czci! Z tego płyną dalsze następstwa unieszczęśliwiające ostatecznie Lachowicza.

Kto tu zawinił? Brak szczerości w stosunkach między ludźmi, przywidzenia, opieranie się na fałszywych domysłach... Ileż to takich «dusz w niewoli!...»

Chwilowo przestał Prus śmiać się. Ale do śmiechu wróci — tylko to już będzie śmiech inny. Mówimy często o tym, czy o owym, że ma humor, że opowiada z humorem. Rozumiemy przez to zazwyczaj, że ktoś jest wesoły, że rozmawia dowcipnie. Tymczasem przez humor należy co innego rozumieć. Humorystycznym nazywamy takie opowiadanie, które równocześnie rozśmiesza nas i rozrzewnia. Kto opowiada z humorem, musi kochać tych, o których mówi. Gdy ktoś powróci do kraju po długich latach przebywania na obczyźnie, uśmiecha się na widok przestarzałych zwyczajów, istniejących jeszcze przesądów, a jednak czuje, że mu dobrze, i często bliższy jest łez, bo on wśród tego wyrósł — wszystko przypomina mu lata dzieciństwa. Gdyby zaczął opowiadać o swym powrocie, wzbudzałby uśmiech i rozrzewnienie, opowiadałby — z humorem.

Tak zaczyna teraz pisać Prus — przede wszystkim o małych dzieciach.

«Bohaterem mego opowiadania (czytamy w «Przygodzie Stasia») jest osoba, która ma trochę więcej niż

łokieć wzrostu, około 30 funtów wagi i ledwie półtora roku odbywa doczesną pielgrzymkę. Tę klasę obywateli kraju ludzie dorośli przezywają dziećmi i w ogóle — nie traktują jej dość poważnie. Dlatego z pewną obawą przedstawiam czytelnikom niedużego Stasia i przede wszystkim proszę ich o cierpliwość. Jest to dziecko ładne i czyste, włosy ma lniane, oczy duże, szafirowe, zgrzebną koszulkę i tyle zębów, ile potrzeba do pójścia na własny chleb».

Więc nie żartujmy ze Stasia, skoro ma już tyle zębów! Ale jakże wyglądało jego niemowlęstwo, kiedy nie był jeszcze tak poważną osobą?

«W tej epoce (niemowlęstwa) Staś nie odróżniał jeszcze swej matki od siebie samego, a gdy mu się jeść bardzo chciało, ssal wielki palec własnej nogi zamiast matczynej piersi». Wszelako «po ciężkiej pracy i kilkomiesięcznych doświadczeniach doszedł Staś do wielkich wyników. Udało mu się uchwycić różnicę między swoją nogą a krawędzią kołyski, a nawet między łonem matki a sienniczkiem. W tym czasie był już bardzo mądry. Wiedział, że głód morduje go od strony nóg, że w jednych punktach głowy skupiają się wszystkie możliwe hałasy, w drugich — wszelkie barwy i że trzeci punkt służy do ssania.

W kilka miesięcy później porobił jeszcze więcej odkryć... Teraz poczęły się w nim tworzyć upodobania i niechęci, obawy i nadzieje. Lubił Kurtę, ponieważ pies był ciepły, lizał go i miał mordę jak aksamit. Lękał się ciemności, wśród której można się było rozbić; tęsknił do sadu, gdzie się pełną piersią oddycha i gdzie szmer drzew kołysał dziecko do snu. Wiedział już, że płomień świecy, aczkolwiek ładny i skacze, nieuczciwie jednak

obchodzi się z palcami dziecka. Pamiętał też, że nogi ojca są twarde, czarne i większe od całego Stasia, a nóżki matki są tak niskie, że zaczynają się i kończą przy samej ziemi.

Niekiedy stawał na głowie, ale wnet zmiarkował, że pozycja to niewygodna i że najodpowiedniejsze dla natury ludzkiej jest chodzenie — na czworakach. Dzięki tym ruchom przekonał się, że ściany, krzesła i piec nie siedzą w jego oku, lecz gdzieś zewnątrz, znacznie dalej, niż na długość ręki.

Później zaczęto go uczyć bardzo trudnej sztuki chodzenia. Chłopca bawilo to, że się tak wysoko wznosi nad ziemią... Naprzód stawał, potem podnosił lewą rękę i prawą nogę, wyginał ją ku środkowi prawym brzegiem stopy — plusk o ziemię! Następnie podnosił prawą rękę i lewą nogę, wyginał ją do środka, kulil palce i lewą krawędzią stopy — plusk o ziemię! Po kilku takich ruchach nie posunął się ani o krok z miejsca, ale za to dostawał zawrotu głowy i upadał...»

Czy śmiejemy się pełną piersią, czytając o tych pracach i doświadczeniach Stasia? Nie. Czy uśmiechamy się? Tak. Czy czujemy dla małego bohatera życzliwość? Niewątpliwie — tak. Czy na myśl o ciężkiej pracy małej główki doznajemy jakiegoś uczucia w rodzaju rozrzewnienia? Po namyśle potwierdzimy prawdopodobnie to pytanie. Czy jesteśmy bliscy lez? Stanowczo nie, brak do tego powodu. Staś jest przecie zdrow, ma — jak się dowiadujemy — bardzo dobrą mamusię, ma zakochanego w nim ojca, i pewno krzywdą mu się nie stanie. Więc litujemy się nad nim chyba o tyle, o ile uczucie litości budzi w nas każde małe, bezradne dzie-

cko. W ogóle zaś, czytając opis powyższy, częściej się uśmiechamy, niż doznajemy rozrzewnienia.

Czasem jednak stosunek jest odwrotny. Weźmy do ręki obrazek p. n. «Sieroca dola». Są to dzieje sieroty Jasia, cierpiącego Bóg wie za co. Najpierw przebywa Jaś z matką na wsi w domu zacnego pana Anzelma, ale gdy pan Anzelm stracił majątek, matka Jasia przenosi się z synkiem do Warszawy i tam utrzymuje się z szycia. Niestety nędza coraz większa, nie-szczęśliwa kobieta wpada w tyfus głodowy — umiera. Jaś dostaje się do domu niejakiego pana Karola, człowieka zamożnego, ale bez serca. Jest mu tam bardzo, bardzo źle. Chłopczyzna «począł marzyć i tonąć we wspomnieniach. Niekiedy, szczególnie o szarej godzinie, przemykał oczy i wyobrażał sobie, że jest jeszcze na wsi, w pokoiku matki, u pana Anzelma. Zdawało mu się, że przez otwarte okno wieje ciepły wiatr i szeleści wśród gałązek winogrodu. Za chwilę odległy gwar uliczny przenosił go do Warszawy, i wówczas Jaś marzył, że słyszy klekot maszyny, czuje na twarzy ciepło lampy i że *matka* siedzi o krok od niego.

— Gdybym tylko otworzył oczy — myślał Jaś — zaraz bym ją zobaczył. Ale nie chcę, bo mi się nie podoba, i wolę siedzieć z zamkniętymi oczyma...

Niekiedy jednak na mgnienie otwierał oczy. Wówczas widział światło w mieszkaniach naprzeciw, a na ciemnej ścianie pokoju czarne odbicia okiennych ram, podobnych do krzyża, a raczej do dwu krzyżów. Wtedy niewiedomo skąd przychodziły mu słowa: «Kogo Pan Bóg kocha, krzyżyki mu daje...»

— Krzyżyki!... krzyżyki!... — myślał Jaś i czekał na matkę.

Zdawało mu się, że już idzie po schodach... Idzie minutę... dwie... kwadrans... Widać, że schody urosły, bo takie są długie, jak stąd do nieba, aż matka przejść ich nie może... Jaś jednak czekał cierpliwie, a tymczasem upajał się szelestem jej sukni i cichym stąpaniem.

O matko! dlaczego idziesz tak powoli?... O matko! spiesz się i wyrwij syna z sieci szaleństwa, które go otacza ze wszystkich stron!...

Niekiedy gorączkowe dumania sieroty przerywały wyrazy: na herbatę!

Wówczas Jaś wstawał i szedł powoli, noga za nogą, wyobrażając sobie, że gdy wejdzie do jadalnego pokoju, zobaczy jowialną twarz pana Anzelma i usłyszy jego gruby śmiech, a matka każe mu usiąść na wysokim jak drabina krzeselku i poda zwykłą filiżankę leciutkiej herbaty z mlekiem...

Z takimi marzeniami opuszczał Jaś swój ciemny pokój. Nagle zalały go potoki światła i ujrzał, zamiast matki, piękną i surową panią Karolową, a zamiast Anzelma — pana Karola...

Gdy Jaś zobaczył to, zatoczył się jak pijany.

O matko! spiesz się, bo duch twego syna zbyt często zrywa z rzeczywistością, a w końcu może zerwać z ciałem!»

Czytelnikowi kręć się w oczach łzy...

Jakież dalsze dzieje Jasia? Do czasu bardzo smutne. Pan Karol oddaje sierotę do krawca pijaka, gdzie posadzają go niesłusznie o kradzież, więc Jaś ucieka, dostaje się w towarzystwo wyrzutków społeczeństwa, marznie, dręczy go głód. W rozpaczmyśli o śmierci. Ocala go zacy pan Anzelm.

Bolesne sieroce dzieje... a jednak czytając je, choć

współczujemy serdecznie z Jasiem, uśmiechamy się czasem, zwłaszcza kiedy poznajemy szubienicznika Antka, który — sam nędzarz — godzi Jasia (gdy ten uciekł od krawca) «do służby»! Antek rozwozi piasek i kradnie worki, o czym ludzie już się przekonali, ale gdy mu przedsiębiorca nie chce wskutek tego worków powierzyć, on woła obrażony: «A mój honor to pies?» A potem kładzie wór z piaskiem Jasiowi na plecy, a kiedy ten przerażony pyta, co ma z tym robić, otrzymuje odpowiedź: «Jak to co? Będiesz za mną piasek nosił, a ja będę krzychał i jeszcze — będę się frasował o ciebie». Tak się zaś o niego frasuje, że odziera go z płaszcza i z czapki wśród zimy i wpędza w chorobę...

Są i jeszcze bardziej wstrząsające opowieści...

Anielka, serdeczna kilkunastoletnia dziewczeczka, ma chorą matkę, braciszka i ojca, człowieka lekkomyślnego, bez serca, a zdążającego szybko, wskutek życia nad stan, do ruiny. Pan Jan żyje źle z gromadą wiejską, krzywdzi chłopów, nie odczuwając wyrzutów sumienia, o żonę nie dba zupełnie, ciągle jest poza domem, co gorsza za życia żony myśli już o innej kobiecie (niejakiej pani Weissowej). Anielka chowa się pod okiem nauczycielki, śmiesznej starej panny, bawi się z psem Karuskim, nie zdaje sobie sprawy z tego, co się w domu dzieje. Ale od czasu do czasu dojdzie ją wieść o postępowaniu ojca. Chłopu Gajdzie zajęli fornale pana Jana konie. Pilnowała ich córeczka Gajdy, mała Magda, ale nie zdołała upilnować. Pan Jan żąda za wypuszczenie koni trzech rubli. Wielka to kwota dla Gajdy, ale że dziedzic nie opuścić nie chce, więc chłop dobywa drżącymi rękoma z za pazuchy skórzanego woreczka

i płaci, mrucząc przy tym blady z gniewu: «Przynajmniej za to mojej dziewczusze kości porachuję, żeby pa-miętała».

Anielka usłyszała te słowa. Zadrżała, pragnęła ratować Magdę, ale jak? Po chwili namysłu pobiegła na gościniec, którego Gajda musiał przechodzić, i zatrzymała go na drodze.

Chłop ujrawszy Anielkę, «popatrzał ponuro na zbladłą twarz i bojaźliwe szafirowe oczy pańskiego dziecka.

— Gospodarzu!... — rzekła Anielka ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czego? — spytał krótko.

— Gospodarzu, prawda, że wy nie będziecie bili Magdy?...

Chłop aż się cofnął.

— Posłuchajcie mnie, proszę was!... Ona taka mała, czy mogła zatrzymać takie wielkie konie?... Ona jest taka — o... mnie po ramię... Widzieliście wy jej ręce? Cóż ona mogła poradzić koniom takimi rękoma? I pewnie bała się ich jeszcze... Ja, gdyby mi koń uciekł, płakałabym tylko... Ona może gończyła je, ale... gdyby ją który uderzył kopytem, pewnie by ją zabił...

Na twarzy chłopca malowało się zdziwienie, graniczące z przestachem. Z oczu, głosu, każdego ruchu Anielki biła taka potęga uczucia, że groźny olbrzym widział się wobec niej małym.

— O, nie bijcie jej! — mówiła Anielka, składając ręce. — Wy jesteście tacy silni, a ona taka słaba... Gdybyście ją mocniej schwycili, moglibyście zadusić... Żebyście wiedzieli, jak ona boi się teraz! Pewnie siedzi w oknie i słucha, czy nie nadchodzą... Musi płakać

i trząść się... bo cóż ona poradzi?... Konie zawiniły, a ją bić mają... Za co?

— Anielko! Anielko!... — odezwał się z ogrodu wąty głos panny Walentyny (nauczycielki).

Anielka na chwilę umilkła. Z rozpaczą niemal obejrzała się dookoła, a potem, jakby szczęśliwą myślą natchniona, szybkim ruchem wydobyła spoza gorsu złoty medalionik i zdjęła go z szyi.

— Patrzcie, Gajdo... Ta Matka Boska jest złota i poświęcona w Rzymie. Dostałam ją od mamy... Kosztuje bardzo dużo, więcej niż trzy ruble... Dała mi ją mama i kazała przez całe życie nosić... Ale macie ją, byleście nic złego nie zrobili Magdzie!...

Dziewczynka, trzymająca taką świętość w ręku, wzrosła w oczach chłopca do znaczenia księdza, trzymającego Hostię. Zdjął czapkę i bardzo wzruszony przemówił:

— Schowaj se panienka ten obrazek przenajświętszy. Ja tam nie Żyd, żebym takimi rzeczami handlował.

— Anielko! Anielko!... — wołała panna Walentyna.

— A będziecie bili Magdę?

— Nie.

— Z pewnością nie?

— Niech mnie Bóg broni!... — rzekł, uderzając się w piersi.

— I nigdy?...

— Już nigdy nie będę bił małych dzieci, bo by chyba Pan Bóg jaką karę na mnie zesłał.

— Anielko! Anielko!...

— No, to bądźcie zdrowi!... Dziękuję wam!...

I, cofając się, przesłała mu pocałunek ręką.

Chłop stał, patrzył na nią i słuchał ostatniego szelustu. Po czym przeżegnał się i zaczął pacierz mówić. Chwila ta cofnęła go we wspomnieniach aż do pierwszej spowiedzi. Serce mu prędko biło. Gdyby widział cud, nie byłby więcej zmieszany.

Potem zaczął iść wolno ze spuszczoną głową i znikł na zakręcie, trzymając wciąż czapkę w ręku...

Oto co działała «potęga uczucia», niezmienna dobroć serca dziewczeczki.

Tymczasem ojciec Anielki, pan Jan, wyjechał «za interesami», a majątek bez wiedzy żony sprzedał Niemcom. Chora pani Janowa musiała się przenieść na folwark do karbowego, w okolicę bagnistą, niezdrową. Słabła tam coraz bardziej, a i Anielka poczęła zapadać w gorączkę, wstrząsały ją złe dreszcze. Zbliżało się też widmo nędzy... Pani Janowa, choć chora, wybrała się wówczas do Warszawy po ratunek do krewnych i do lekarzy. Anielka została na folwarku, by czuwać nad bratem. Ale nikła w oczach, gorączka zżerała ją, niebawem nie mogła już podnosić się z pościeli... O matce wieści zaginęły... Wreszcie zjawiała się pomoc — przyjechała po dzieci powozem pani Weissowa... Zabrała je do siebie, otoczyła troskliwą opieką, do chorej ciężko Anielki wezwwała lekarzy. Ale i księdza trzeba było sprowadzić, bo za życie dziecka nie można już było ręczyć...

— Módl się, moje dziecko... — rzekł proboszcz.

— Jak tam ładnie... — odezwała się Anielka, wskazując ogród. — Boże mój, Boże!... czy ja kiedy zobaczę dom nasz... mamę moją kochaną?...

Potem zaczęła bić się w piersi i spojrzała na księdza, czekając jego pytań.

— Byłaś, moje dziecko, u spowiedzi przed Wielkanocą?

— Tak.

— Dobrze, moje dziecko. Trzeba przynajmniej raz na rok spowiadać się. A na mszy św. bywałaś każdej niedzieli?

— Nie.

— Więc zapewne modliłaś się w domu?

— Nie zawsze — odparła Anielka, spuszczać oczy. — Czasami biegałam po ogrodzie i bawiłam się z Karuskiem.

— Można się bawić w święta, ale zawsze trzeba się choć trochę pomodlić... Słuchałaś też rodziców? Chętnie wypełniałaś ich rozkazy?

— Nie — szepnęła Anielka. — Ojciec nie kazał mi rozmawiać z Gajdą, a ja rozmawiałam...

— Trzeba, moje dziecko, zawsze spełniać wolę rodziców, bo oni nic nie nakazują bez powodu. Po cóżes rozmawiała z tym człowiekiem?

— Prosiłam go, żeby córki swej nie bił... Ona taka mała...

— Aha! Moje dziecko... moje dziecko... To dobrze, żeś prosiła, ale rodziców zawsze słuchać potrzeba... A nie wzywałaś kiedy imienia Boskiego nadaremnie?...

— Tak.

— Doprawdy? — rzekł proboszcz. — I z jakiegoż to powodu, moje dziecko?

— Prosiłam Boga, ażeby ojca do nas przysłał... potem mamę...

— Aha!... Moje dziecko...

Proboszcz dobył fularową chustkę i obtarł nos.

— Czy już nic nie pamiętasz, moje dziecko?

— Nic...

— Bij się w piersi, moje dziecko, i mów: «Boże, bądź miłościwi!...» A za pokutę zmów sobie jeden pacierz na intencję wszystkich grzeszników.

Odmówił nad nią modlitwę głosem zmienionym i wybiegł prędko z salonu, unikając spotkania z ludźmi.

W tej chwili nadjechał niespodzianie ojciec Anielki i wpadł do pokoju chorej, choć go powstrzymywano.

— O, jak to dobrze, że tatko już przyjechał — wyszeptala Anielka — nam tak było źle...

— Wiem, że wam było źle na tym przekętym folwarku, który obecnie sprzedałem. Ale...

Anielka zaczęła się przypatrywać ojcu uważnie i przy kołnierzu czarnego surduta dostrzegła dwie białe tasiemki.

— Co to?... żałoba?... — zapytała, drżąc. — Po kim tatko w żalobie?...

Nagle błysnęła jej jakaś myśl.

— Mama nie żyje!... — krzyknęła, zasłaniając rękoma oczy, i upadła na poduszki.

Ojciec pochylił się nad nią.

— Anielciu!... uspokój się — mówił. — Anielciu...

Dziecko leżało blade, bez ruchu.

W tej chwili wbiegł do salonu doktor. Zbliżył się do Anielki, wziął ją za puls... Posłuchał oddechu... Anielka już nie oddechała...

.....
Pan Jan ożenił się z panią Weiss w karnawale...»

«Hej, lży się kręca...» — lży żalu nad zmarnowaną anielską duszyczką i lży oburzenia na ojca, który zabił własne dziecko. Ale kto tak umiał przedstawić istoty szlachetne, święte niemal, jaką była Anielka, ten sam

musiał być człowiekiem niezwykle zacnym, kto zdołał wzbudzić współczucie dla cierpienia, ten sam musiał z niedolą ludzką współczuć gorąco, musiał ludzi kochać. Prusa bolała każda krzywda jednostki, każda łza wylana niezasłużenie. I dlaczego ludzie tak cierpią, najczęściej najniewinniejsi, najlepsi? Na razie Prus odpowiedzi nie znajdzie, rychło jednak, a ból człowieczy przedstawi mu się jako łaska Boża, dobrodziejstwo wielkie dla tego, który cierpi, i dla drugih. Ale nim dojdzie do takiego poglądu, zajmie się sprawami innymi, mającymi znaczenie nie dla jednostek już tylko, lecz dla całego społeczeństwa polskiego.

II

Parcie Niemców na wschód. — Środki zaradcze. — Powieść «Placówka». — Postać Ślimaka. — Stosunek Ślimaka do dworu, służby, żony. — Walka z osadnikami niemieckimi. — Zwycięstwo. — Obrazy przyrody w «Placówce». — Chłopi w innych opowieściach Prusa. — Walka z ciemnotą.

Pod zaborem pruskim rozpoczęła się przed laty rozpaczliwa walka o ziemię. Fala niemiecka posuwała się na wschód, na łąkach polskich (także w Królestwie) zjawiały się coraz to nowe domy niemieckich kolonistów. Znikała wielka własność, wysiłki około ratowania zagonów ojczystych okazywały się aż nazbyt często daremnymi. Budziła się trwożna myśl: co będzie z nami, gdy ziemię stracimy? Czy i kto potrafi ją uratować?

Walka ta trwa do dzisiaj, staje się coraz trudniejszą, coraz cięższą, ale naporowi nie ulegliśmy dotychczas i bronimy się, mimo wszelkich środków przemocy, coraz wytrwalej i sprawniej¹⁾.

¹⁾ Pisane w roku 1913 (przyp. wyd.).

Pisarze polscy od dawna zajmowali się tą sprawą, starali się budzić uczucia patriotyczne wśród szerokiego ogółu, zachęcać do oporu, wskazywać środki ocalenia się. Ale rad ich nie zawsze można było posłuchać. Łączność dworów? wzajemne wspomaganie się? — rzecz zbawienna, ale chodzi o sposób, w jaki pomagać sobie należy. Gdy właściciel dóbr, Polak, zadłuży się, a zacny sąsiad udzieli mu pożyczki, byle tylko zadłużony nie sprzedał ziemi Niemcom, to postępuje oczywiście bardzo szlachetnie, lecz nie zawsze sąsiad sąsiada, choćby chciał, ocalić potrafi — może nie mieć pieniędzy czy na pożyczkę czy na kupno zadłużonego majątku. Prus sam ongiś wskazał taki sposób ratowania ziemi (w powiatcie «Wieś i miasto»), ale widocznie zrozumiał wnet, że spuszczenie się na pomoc drugich nie zawsze byłoby dobre, bo do sprawy tej powrócił w «Placówce».

«Placówka» to powieść. Bohaterem jej chłop zwący się Ślimak, właściciel niewielkiego gospodarstwa i kilku zagonów ziemi, leżących na spadzistej górze, nad doliną rzeczki Białki.

Wierny swoim zasadom, Prus nie stara się wcale przedstawić Ślimaka lepszym ani mędrszym, niżby nim mógł być chłop polski, osiadły zdala od miasta, zapracowany, nie mający czasu na książkę czy gazetę. O ile wyżej stoją od niego koloniści niemieccy, przybyli z Zachodu, jak górują nad nim ukształceniem, przedsiębiorczością, energią! I gdyby ci Niemcy, co zagościli w dolinę Białki, nie byli jedną z tych wrogich fal, co podmywają nasze wybrzeże, nie czulibyśmy nawet niechęci do nich, tak ujmuje nas ich zmysł porządku, gospodarność, pracowitość. Jak zaś w porównaniu z przybyszami przedstawia się nam Ślimak? Jest to człowiek uczciwy, nie-

głupi, ale dość zacofany, lękający się zmian w prowadzeniu gospodarstwa — gospodarzy, jak gospodarzyli jego ojcowie. Gdy krewny dziedzica podda mu myśl hodowania roślin ogrodowych na sprzedaż, on posądzi go od razu o jakąś «podrywkę»; pewnie — rozumuje Ślimak — dwór za dzierżawę łączki będzie chciał sporo i dlatego ten «farmazon» wmawia w niego, że dziesięciomorgowy grunt to majątek i że przy hodowli warzyw można by z ziemi tej czerpać duże dochody.

Ale w oczy tego paniczowi ze dwora nie powie. Gdzieżby on śmiał! Co dziedzic, to dziedzic, a i krewny dziedzica, choć na koniu jeździć nie umie i po cudacku się ubiera, to też jaśnie panicz.

Właśnie wybrał się on krewny dziedzica na przejażdżkę wierzchem w stronę zagrody Ślimakowej. Lecz szczęście, jak zwykle, nie dopisało mu, noga wysunęła się jeźdźcowi ze strzemiesienia, więc oburącz chwycił rumaka za grzywę i na całe gardło zaczął wołać:

— Tpru!... stój, ty diable!...

Syn Ślimaka, Jędrak, usłyszał krzyk i wdrapał się na wrota; zobaczywszy zaś dziwnie ubranego panicza, wybuchnął śmiechem. Wtedy koń skoczył w lewo i tak zawinął jeźdźcem, że mu spadła aksamitna dzokiejka.

— Podnieśno czapkę, kochanku!... — zawołał panicz do Jędraka i pędził dalej.

— A to se pan podnieś, kiedy gubisz... Cha! cha! — śmiał się Jędrak i klasnął w rękę, ażeby lepiej spłoszyć bieguna.

Wszystko to widział i słyszał jego ojciec. W pierwszej chwili zuchwalstwo chłopca mowę mu odjęło, ale wnet oprzytomniał i krzyknął z gniewem:

— Ty kondlu Jędreku!... A podaj krymkę jasnie paniczowi, kiej ci każe!

Jędreku wziął we dwa palce dzokiejkę i trzymając ją z daleka od siebie, podał jeźdźcowi, który już powściągnął konia.

— Dziękuję, bardzo dziękuję... — rzekł panicz, śmiejąc się nie gorzej od Jędrka.

— Jędreku! psia wiaro, czemu ty czapki nie zdejmiesz przed jasnie paniczem?... — wołał z góry Ślimak. — Zdejmij zaraz!

— A co ja mam każdemu czapkować? — odparł zuchwały wyrostek.

— Wybornie!... bardzo dobrze!... — cieszył się panicz. — Poczekaj, dam ci złotówkę. Wolny obywatel nie powinien upokarzać się przed nikim.

Ślimak nie podzielał demokratycznych zapatrywań panicza. Rzucił lejce kasztankom i z czapką w jednej, a batem w drugiej ręce, biegł ku Jędrkowi.

— Obywatelu! — zawołał panicz do Ślimaka. — Obywatelu, proszę cię, nie rób mu krzywdy... Nie słuchaj niepodległego ducha... Nie...

Chciał prawić jeszcze, ale znudzony koń uniósł go w stronę mostu. W drodze jeździec minął wracającą do chaty Ślimakową i zdjąwszy zakurzoną dzokiejkę, zaczął wywijać nią i wołać:

— Niech pani nie pozwala bić chłopca!...

Jędreku zniknął już między budynkami, panicz przejechał most z powrotem, ale Ślimak jeszcze stał na miejscu z batem w jednej i czapką w drugiej ręce, zdumiony tym, co się stało...

— Farmazon! — mruknął.

Nakrył głowę i gniewny wrócił do koni.

— Wio, dzieci!... To ci świat nastaje, nie bój się! Chłopski syn nie chce uklonić się panu, a pan mu to jeszcze chwali. Taki on i pan! Prawda, że szwagier dziedzica, ale musi coś ma zepsute w głowie... o, ma! Wio, dzieci! Niezadługo zabraknie panów, a ty, chłopie, choć zdychaj!...

Od takich Ślimaków roily się niedawno jeszcze wsie polskie, a i dzisiaj chłop tego pokroju zupełnie nie zniknął. Zasada równości? Wszyscy są obywatelami? Co znowu? Obywatel to dziedzic, a on jest chłop i rozumie, że porządek jakiś musi być na świecie. Gdzie tam jest jakaś równość! Przecie i on, Ślimak, żąda od swego parobka, aby go szanował, i na poufałość nie pozwoli. Parobek też wie dobrze, że co innego najmita, co innego gospodarz, a co innego znów sołtys. To taka przepaść, jak między Ślimakiem a dziedzicem. Rozumieją to wszyscy, a Ślimakowa nie postawi jądła najmity Maćka obok misy męża i sołtysa, gdy sołtys zagości do ich chaty. Gdzieżby? Maćkowi przewrócić by się mogło w głowie, a sołtys mógłby się słusznie obrazić. Nawet w tej samej izbie Maćkowi jeść nie wypada.

Ślimakowa «nalala dwie miski krupniku ze skwarkami. Mniejszą podała parobkowi, większą postawiła na zakrytym stole przed gościem (sołtysem).

Uśmiechnięty Maciek wziął swoją porcję i usiadł na ławie naprzeciw alkierza, aby widzieć sołtysa Grochowskiego i przysłuchać się ludzkiej rozmowie. Widok sołtysa napelniał serce Maćka czcią i dumą. Wszakże to Grochowski woził go niegdyś do losowania i stał przy drzwiach w samej kancelarii, gdy tymczasem rekruci mokli na deszczu za oknem. Wszakże to on kazał go odwiedzić do szpitala, i zapewnił go, że będzie zdrow, gdy

stamtąd wyjdzie. A kto zbiera podatki? Kto w czasie procesji nosi największą chorągiew? Kto intonuje w kościele na niesporach: «Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą!» Przecie ten sam Grochowski, z którym dzisiaj on, zwyczajny Maciek Owczarz, siedzi pod jednym dachem! A jaką on ma wspaniałą postawę! Jak rozpiera się na stolku!... Aż Maciek spróbował wyprostować się, ale odepchnęła go zgorszona ściana, przypominając, że on przecie nie soltys, tylko nędzny parobek. Więc choć go grzbiet bolał z pracy, zgiął się jeszcze pokorniej, i zawstydzony, schował nogi pod ławę...»

Tę kastowość, posuniętą do śmieszności, właściwość wsi i miasteczek, pochwycił i uwydatnił Prus doskonale. Maciek najmita jest czymś niesłychanie nikłym wobec Ślimaka, a zwłaszcza wobec soltysa, a Ślimak i soltys razem wobec dworu.

Ale co innego uczyć jaśnie pana, a co innego ufać mu. Ślimak nie wierzy dworowi z zasady, podejrzewa każdy krok dziedzica, wszędzie dopatry jakiejś zasadzki. Jak można dziedzicowi okazywać cześć, a równocześnie uważać go za uosobienie przewrotności, nad tym się Ślimak nie zastanawia.

Natomiast ślepo ufa żonie i na nic bez niej się nie odważy. «Jakoś to przez żony — powiada — nieładnie». Nie, żeby ona była mędrsza od niego, owszem, wszelkie plany wychodzą właśnie od Ślimaka, ale gdy działać trzeba, przepadło! Wówczas to już jej głowa, ona musi wszystkiemu zaradzić, a męża przynaglić wprost do zrobienia, czego potrzeba. «Pomyślenie» bo Ślimak ma, ale brak mu tego, co nazywamy wolą.

Jakby to dobrze było kupić trzecią krowę, jak dobrze wydzierżawić łączkę od dziedzica. Ślimak ciągle

o tym myśli, plany układa, rozwija je przed żoną, a ona słucha i milczy. Ale gdy kupno się nadarzy, Ślimak od razu przycichnie, a zabierze głos żona. Oto soltys przeprowadził już krowę. Jagna nie waha się. Bydlę piękne, pieniądze są, na paszę odnajmie się dworską łąkę. Ale «bliskie urzeczywistnienie najśmielszych marzeń przeraziło Ślimaka.

— Bój się Boga, Jagna, co ty gadasz? Jakże ja wezmę łąkę w arendę? — spytał.

— Pójdź do dworu, poproś pana, zapłać czynsz za rok i tyle.

— Zwariowała baba, jak mi Bóg miły! Przecie dziś nasze bydlę z tej samej łąki szczypie trawę darmo, a jak zapłacę czynsz, to co?... To już nie będzie darmo.

— Jak zapłacisz czynsz, to będziesz miał trzecią krowę.

— Choroba mi po niej, kiedy i za nią i za łąkę trzeba płacić! Nie pójdę do dziedzica...

Żona przysunęła się i zajrzała mu w oczy.

— Nie pójdziesz? — spytała.

— Nie pójdę.

— No, to ja i w domu zdybię paszy, a wtedy pójdziesz do samego diabła, nie tylko do dziedzica, jak ci zbraknie dla koni. A tej krowy z chałupy nie wypuszczę i kupię ją...

— To se kupuj.

— Kupię, ale ty stargujesz, bo ja nie mam czasu namawiać Grochowskiego i nie będę z nim piła wódki.

— Pij! namawiaj! kiedy ci się zachciało krowy! — wołał Ślimak.

Zwawa kobiecina wyciągnęła rękę i, grożąc nią, mówiła:

— Józek, ty mi się nie buntuj, kiedy sam nie masz dobrego zastanowienia! Ty mnie słuchaj. Frasujesz się co dzień, że ci nie starczy nawozu, klekoczesz mi głowę, że ci trzeba bydłęcia, a kiedy przyszedł czas, kupić go nie chcesz. Przecie te krowy, co już są, nie cię nie kosztują i jeszcze dają pieniądze z nabiału; więc i tamta pieniądze ci przyniesie, ino się słuchaj. Mówię ci: słuchaj się!... Kończ robotę, przychodź do izby i krowę mi wytarguj, bo inaczej znać cię nie chcę...

To powiedziawszy, odeszła, a chłop porwał się za głowę.

— A dolaż moja z tą babą! — lamentował. — Gdzie ja nieszczęśliwy potrafię wziąć łąkę w arendę?... Toż dziedzic nawet gadać ze mną o tym nie zechce... I trawę do tych pór mieliśmy darmo, ile jej bydłatko uszczypnęło, a teraz co?... Uparła się baba mieć krowę, zacięła się, a ty choć bij łbem o ścianę... Po cóżem ja się nieszczęśliwy urodził, po com na ten świat przyszedł, żeby ino z każdej strony mieć zmartwienie!... Wio, dzieci!... O ja nieszczęśliwy, o ja nieszczęśliwy!... Wio, dzieci!...»

Nie należy zaś zapominać, że cały plan kupienia krowy i najęcia łąki ułożył sam Ślimak już dawno.

Ale ten chłop dość zacofany, nieporadny, czasem aż niedołężny, przedstawi nam się od razu w innym świetle, gdy zjawi się Niemiec z talarami pruskimi o kupno gruntu. A właśnie tak się dzieje. W dolinie Białki chcą osiąść koloniści pruscy, ale trzeba im koniecznie górki Ślimakowej, bo tam mają postawić wiatrak.

Na rozgląd przybywa (po raz drugi już) stary Niemiec Hammer z synem Frycem. Na niebie świta, Ślimak odmawia pacierz poranny. Nagle spostrzega dwu ludzi

w długich granatowych kożuchach. Jeden miał twarz starą i ogoloną, drugi był barczysty i brodaty. Oni go także spostrzegli i starszy zapytał:

— To wasze grunta, gospodarzu, z tą górą?

Ślimak przypatrywał im się zdumiony.

— Co wy się tak wypytujecie o moją chudobę? — odparł. — Przecie wam już tego lata powiedziałem, że grunt mój i góra moja.

— Więc kiedy twoje, to nam sprzedaj — odezwał się brodaty.

— Zaczekaj Fryc — przerwał mu stary. — Widzicie, gospodarzu — zwrócił się do chłopca — my dziś kupiliśmy od waszego pana ten majątek...

— No i po co to? — przerwał brodaty.

— Zaczekaj, Fryc. Ale widzicie, gospodarzu, nam potrzebna jest wasza góra, bo chcemy postawić wiatrak...

— Herr Jesus!... — rzucił się brodaty. — Ojciec z niewyspania chyba rozum stracił... Słuchaj — rzekł gniewnym tonem do chłopca — chcemy kupić twój grunt...

— Grunt? — powtórzył zdziwiony chłop, oglądając się za siebie. — Grunt?...

Chwilę wahał się, nie wiedząc, co odpowiedzieć; wreszcie rzekł:

— A cóż wy, panowie, macie za prawo kupować mój grunt?

— Mamy pieniądze — odparł brodac.

— Pieniądze?... Ja za pieniądze nie sprzedam. To przecie moja ziemia. Siedzieliśmy tu z dziada pradziada, jeszcze za czasu pańszczyzny, i to się nazywała nasza zagroda. Później mój ojciec dostali ten grunt, z ukazu, na własność, i to jest opisane w komisji. Rządowy omen-

tra ziemię tę zmierzyl, na wszystkich papierach są podpisy i pieczęcie, jak się należy, zatem... zatem... jakim prawem wy chciała kupować mój grunt, kiedy on jest mój?... Mój własny, no?...

Przez cały ciąg tej długiej mowy, wypowiedzianej wzburzonym głosem, brodacz odwrócił się do chłopca bokiem i gwizdał przez zęby, a stary wyciągnął ręce i niecierpliwie nimi wytrząsał. Schwyciwszy nareszcie stosowną chwilę, zawołał:

— Ależ my tobie chcemy zapłacić!... Gotówką... Po sześćdziesiąt rubli za morgę...

— I za sto nie sprzedam — odparł Ślimak — bo nie macie na to nijakiego prawa.

— Ale możemy umówić się z dobrej woli.

Chłop pomyślał i nagle zaśmiał się.

— Takiście starzy — rzekł — a jeszcze nie macie rozumu na to, że przecież ja, z dobrej woli, mojego gruntu nie sprzedam.

— Dlaczego?... Za te pieniądze, które wam dajemy, moglibyście za Bugiem kupić całą włókę.

— Kiej tam taka tania ziemia, to czemu wy jej nie kupujecie, ino włazicie do naszej wsi?

— No, nie możemy. My handlujemy całą gromadą, w kilkunastu... Dużo by o tym gadać... Ale mój młodszy syn, Wilhelm, on nie rolnik... Jak nie będzie miał wiatraka, zmarnieje chłopak, albo pójdzie w świat. A ja stary, ja go chcę mieć przy sobie... Zresztą słuchaj — dodał ciszej — dam ci siedemdziesiąt pięć rubli za morgę... Wielki to pieniądz!... Bóg mi świadek, że daję ci więcej, niż warto... Prawda, że sprzedasz?

Chłop ze zdziwieniem i litością patrzył na starca.

— Musi, panie — rzekł — wy macie kiepski ro-

zum, kiedy mnie tak napastujecie. Bo ino pomyślcie, czy jest sens prosić człowieka, ażeby dał sobie uciąć rękę, albo nawet poderżnąć gardło? A cóżbym ja, chłop, robił bez ziemi?...

— Kupisz sobie inne grunta... Będiesz miał dwa razy tyle... Sam nawet wyszukam ci taką wieś...

Ślimak kiwał głową, wreszcie odparł:

— Mówicie do mnie, jak ten chłop do drzewiny, kiedy ją wykopuje w lesie, a chce zasadzić kole domu. «Chodź — on mówi — będziesz w chałupie, będziesz między ludźmi...» No, i głupia drzewina wychodzi z lasu, bo musi; ale nim ją w nowym gruncie osadzą — usycha. I wy chcecie, żebym ja tak zmarniał z żoną, z dziećmi i całym dobytkiem. Bo cóżbym począł w tym dniu, kiedybym mój grunt sprzedał?

Rozmowę przerwał brodaty, przemówiwszy do ojca głosem podniesionym i stanowczym.

— Więc nie sprzedasz? — spytał starzec.

— Ni — odparł Ślimak.

— Po siedemdziesiąt pięć rubli morg?

— Ni.

— A ja ci mówię, że sprzedasz! — zawołał brodaty, gwałtownie chwytając ojca za rękę.

— Ni.

— Sprzedasz gospodarzu — powtórzył stary.

— Ni.

Poszli obaj na most, krzykliwie rozprawiając po niemiecku. Chłop podparł ręką brodę i patrzył za nimi.

Niebawem koloniści niemieccy poczęli ściągać na zakupione dworskie grunta. Od razu zaroiło się od ludzi i od razu można było poznać, jaka to u nich sprawność i jaki ład. «Uwinęły ci się pary we dwa pacierze»

dziwił się Maciek, najmita Ślimaka, a i Ślimak nie mógł wyjść ze zdumienia. «Jak to one kupą wszystko robią! — mówił do parobka. — Przecie i nasi ludzie, bywa, że wyjdą gromadą; ale każdy krząta się sam za siebie, ino częściej odpoczywa, albo jeszcze innym przeszkadza. Te zaś psie krwie tak jakosik zwijają się, jakby jeden nagieniał drugiego...» I zrozumiał tajemnicę nowożytniej pracy: pospiech i organizację.

Z sąsiedztwa Niemców nie sobie Ślimak na razie nie robił, ale rychło poczyną odczuwać jego skutki. W pobliżu budują linię kolejową, zarobki można mieć duże, za furmankę płacą dobrze. Bogacą się też Niemcy zajęci przy budowie. Zgłasza się i Ślimak ze swymi końmi, ale odprawia go Fryc Hammer, który tam jest dozorcą, nie chce nawet mówić z nim. Chybaby sprzedał grunt... Ale Ślimak ma w odpowiedzi swoje: «Ni!»

A potem spada na chłopca nieszczęście. Przyszła burza, spłynęła rzeka, Niemcy wylawiają z wody niesione wezbraną falą drzewo. A co ułowią piękny kawał, poczynają z radości śpiewać. Synek mały Ślimaka, Stasiak, bardzo wrażliwy na śpiew, tak się zasluchał w melodię potężnie brzmiących głosów, że nie patrząc przed się, poszedł ku tym głosom i wpadł w topiel. Ratunek daremny, dziecko umiera. «Bez Niemców zginął» mówi do siebie zrozpaczony ojciec.

A potem nadchodzi bieda. Zarobków nie ma, do dworu nikt już nie zawoła, bo dwór sprzedany, dla bydła brak paszy, bo Niemcy nie odnajmą już łączki kupionej od dziedzica. Trzeba zbyć krowę, za byle co! na rzeź...

Krowa, «poczuwszy widać zapach krwi, nie chciała ruszyć z miejsca... W izbie słychać było płacz dziewczki

Magdy; gospodyni nie śmiała nawet wyrzeć na dziedziniec, a Ślimakowi zdawało się, że zapienione i zadyzane bydłatko szepcze do niego:

— Gospodarzu, a dyc spojrzycie, co oni ze mną wyrabiają, te Żydy... Przecie oni mnie ztela chcą zabrać i zarznąć!... Sześć років byłam u was i coście chcieli, robiłam woma sprawiedliwie. Ujmijcież się za mną w takim nieszczęściu!... Gospodarzu!... gospodarzu!...

Ślimak milczał. Gniótl w pięści żydowskie pieniądze i myślał:

— Gdzież jabym cię sprzedawał, nasza karmicielko i dobrodziejko, żebyś się nie bał o nieszczęście dla wszystkich?... Nie ja przecie winienem twojej nędzy, Bóg miłosierny zagniewał się na nas i po jednemu wysłał nas na śmierć».

Wtem przemknęło mu przez głowę, że jeszcze by mógł krowę wykupić, byle Hammer paszy sprzedał. Ale Hammer wie, że Ślimak, dostawszy paszy, nie ustąpi się z pola. Paszy więc mu nie da, ale da sto rubli za móg ziemii... Pokusa silna, ale nie dla Ślimaka. «A cobym powiedział — rzecze Hammerowi — gdyby mi drogę zastąpili ojcowie, rzekąc: «Lo Boga, Józek, kaj my cię będziemy szukali, jak nam w czyścicu bardzo dopieczę, i czy twój pacierz trafi do naszych grobów, kiedy się wyprowadzasz gdzieś na koniec świata?... Co ja im odpowiem, albo i Staškowi, który bez was głowę tu położył?»

Więc dziwna walka między kolonią niemiecką a Ślimakiem ma trwać dalej. Tylko że bieda u Ślimaka coraz większa, trzeba i dziewczkę służebną odprawić. A potem złodzieje kradną Ślimakowi konie, starszy syn dostaje się do więzienia za bójkę z Niemcami, a jakby

tego nie było dosyć, pocziwy najmiła, Maciek, wyruszywszy na poszukiwanie kasztanków, zamarza, Ślimakowa zapada ciężko, gospodarstwo plonie... Ha! złość ludzka i dopust Boży! Ślimak wie, że tak się trafia, że czasem na jednego wali się i wali nieszczęście, ale przecie za wiele tego zła na niego, chwyla go jakby oblęd. Korzystają z tego Niemcy, zabierają chorą Jagnę na kolonię, a Ślimakowi podsuwają znowu myśl sprzedaży gruntu. Jemu zaś poczyną już być wreszcie wszystko jedno.

— Co mi ta... — mruknął. — Co mi za niewola tu siedzieć?... Kupię inny grunt. Mam się tu budować, żeby mnie znowu spalili? Tu gospodarzyć, żeby mnie nie sprzedawał? Tu siedzieć, żeby mnie inni pozbawiali zarobku?... Wolę nie być chłopem, a żyć jak Miemieć, co kupuje ziemię najtaniej, a sprzedaje najdrożej i ma pieniądze...

Toteż kiedy zjawia się znów Hammer i pyta Ślimaka, co on będzie teraz robił sam jeden na pogorzelsku, chłop odpowiada «sprzedam». I staje ugoda. Po siedemdziesiąt pięć rubli za mórg. Wszystko jedno — byle prędejsz!

Ale Ślimakowa, choć ciężko chora, choć chwilami nieprzytomna, rozumiała, co się święci. Porwała się z łoża, przystąpiła do męża i wybuchnęła nagle:

— Ty zdrajco!... ty zaprzańcu! Ty grunt sprzedajesz?... Słuchaj — mówiła w gorączkowym rozdrażnieniu — ino sprzedasz, Pan Bóg przeklnie ciebie i chłopaka... Ten łód załamie się pod tobą, jak nie wyrzeczysz się diabelskich myśli... Ja po śmierci nie dam ci spokoju... Nigdy nie zaśniesz, bo choćbyś zasnął, wstanę z grobu i oczy będę ci odmykała... Słuchaj!... — krzyk-

nęła w napadzie szału — jak sprzedasz grunt, nie polknieś Najświętszego Sakramentu, bo uwięźnie ci w gardle, albo rozleje ci się krwią...

— Jezu — szepnął chłop.

— Gdzie stąpisz, trawę spali ci pod nogami... — kłęła nieprzytomna kobieta. — Na kogo spojrzysz, rzucisz urok, i spotka go wielkie nieszczęście...

— Jezu! Jezu! — jęknął chłop.

Wyrwał się jej z rąk i zatkał uszy.

— Sprzedasz? sprzedasz?... — pytała, zbliżając swoją twarz do jego twarzy.

Ślimak potrząsnął głową i rozłożył ręce.

— Niech się co chce dzieje — odparł — nie sprzedam.

— Choćbyś miał zdechnąć na swoim barlogu?

— Choćbym zdechl.

— Tak ci Boże dopomóż?...

— Tak mi Boże dopomóż i niewinna Męka Jego...

Więc choć Jagna umiera, a nieszczęsny Ślimak zostaje sam na swym pogorzelsku, opuszczony, bez strawy, jak Łazarz, gruntu nie sprzedaje. A Niemcy, nie mogąc kupić górki, odsprzedają nabyte lany dworskie okolicznym chłopom polskim i opuszczają dolinę Białki. Kawał ziemi polskiej ocalał...

Kto go uratował? Chłop, jego przywiązanie do zagonu ojcowskiego, jego wytrzymałość, wsparta w chwili zachwiania się przez dzielną kobietę, serdeczną Jagnę.

Ślimak gruntu nie sprzedał...

I Prus umiał patrzeć dobrze. Fala naporu pruskiego rozbija się i dziś o polskiego chłopca, tylko że dziś Ślimaki, w Poznańskim zwłaszcza, stają się coraz bardziej przedsiębiorczymi, gospodarują coraz lepiej, nie

tylko nie sprzedają gruntów, ale nabywają je. Kiedyś, gdy ta walka o ziemię, wiarę i język zakończy się, «Placówka» Prusa będzie świadectwem bohaterskich zapasów ludu polskiego z przemocą pruską, będzie cennym obrazem jednej z chwil tej walki.

Ale «Placówka» ma także inną wartość, nie mniej trwałą, jako jedna z najpiękniejszych powieści polskich. Mamy w niej niezrównany obraz wsi polskiej, mamy w mistrzowski sposób odtworzone życie na wsi i duszę chłopą polskiego, takiego, jakim on był przed trzydziestu laty. Ślimak to postać tak żywa, tak prawdziwa, tak wrażliwa się w pamięć, że niewiele podobnych znajdziemy w naszym piśmiennictwie.

Nadzwyczajnie podnosi wartość «Placówki» sposób przedstawiania w niej obrazów przyrody. Mieszczanin oddalił się od przyrody, wieśniak żyje z nią. Bór gra pastuszkowi dziwne pieśni, szepce do niego łan żyta, w porykach wiatru słyszy on tajemnicze słowa groźby. Inny też jest stosunek łączący chłopą ze zwierzętami; do konia, krowy on mówi, a zwierzę pojmuję znaczenie słów jego, podobnie jak i on każdy głos zwierzęcia dobrze rozumie. Prus wie o tym i dlatego w «Placówce» ożywia naturę martwą, jak ją ożywia chłop polski, zwierzęcą mowę tłumaczy na język ludzki.

Kwiecień to był. «Wrota stodoły były otwarte, i jeszcze, jakby na przekór wyglądało z nich kilka snopów słomy, wabiących Ślimaka do drzemki. Ale chłop odwrócił głowę i spojrzał na jedno ze swych wzgórz, gdzie tego właśnie ranka zasiał owies. Zdawało mu się, że na zagonach widzi żółte ziarna, bardzo *wystraszone* i daremnie *usilujące skryć się* pod ziemią przed stadem wróbli, które dziobały owies.

— Zjadłybyście wy mnie do szczytu — mruknął Ślimak.

Ciężkim krokiem zbliżył się do szopy i wydobył dwie brony, jakby kraty okienne, najeżone dębowymi palcami. Potem wyprowadził ze stajni swoje kasztanki. Jeden z nich ziewał, drugi ruszał wargą i patrzył na Ślimaka przymrużonymi oczyma, *mówiąc w duchu*:

«*Nie wolałbyś, chłopie, sam zdrzemnąć się i nas nie włóczyć po górach? Małoż to nabiegaliśmy się wczora?*»

Ślimak na taką radę pokiwał głową. Zaprzągnął kasztanki do jednej brony, przyczepił do niej drugą, i pojechali zwolna. Minęli zieloną łączkę za stajnią, wdrapali się na popielaty bok wzgórza, wreszcie dosięgli szczytu.

Ile razy dochodzili granicy zasianego pola, zrywało się przed nimi *gniewnie swiergocące* stado wróbli i, jak chmura, leciało poza nich, na kraniec przeciwny. Czasami siadało z boku, zawsze krzycząc i *dziwując się*, że Ślimak zasypuje ziemią tyle pięknego ziarna.

«*Glupi chłop! głupi chłop!... Cóż to za głupi chłop!...* — wołały wróble.

— Aha! — mruknął Ślimak, wywijając batem. — Żebym ja słuchał was, darmożjadów, to nawet wy zmarnielibyście pod płotem. Oni tu jeszcze będą wydziwiali, próżniaki!...

Już to wesela nie miał Ślimak przy swej pracy, ani uznania... Nawet ziemia stawia mu opór, niewdzięcznica.

— Od świni gorszaś! — oburzył się chłop. — Żebym tak świnię skrobał zgrzeblem, jak ciebie bronami, nie tylko spokojnie by się układała, ale jeszcze chrząk-

nełaby na podziękowanie. A ty wciąż się jeżysz, jakbym ci zrobił krzywdę!...

Za znieważoną ujęło się słońce i rzuciło ogromny snop światła na popielatą rolę, na której tu i ówdzie wi-dać było plamy ciemne albo żółtawe.

«Oto patrz! — mówiło słońce. — Widzisz ten płat czarny? Tak czarne było całe wzgórze, kiedy twój ojciec siewał pszenicę. A teraz spojrzysz na ten żółty płat; tu już glina wychyla się spod czarnoziemu i niezadługo obśiedzie ci wszystkie grunta».

— A cóżem ja temu winien? — odparł Ślimak.

«Nie tyżes winien? — szeptała z kolei ziemia. — Sam jadasz trzy razy na dobę, a mnie — jak często karmisz?... Daj Boże raz na osiem lat! A dużo mi dajesz? Pies by zdechl na takim wikcie. I czego ci żal dla mnie sieroty?... Oto — wstyd powiedzieć — skąpisz mi bydlęcę mierzwy!...

— Oj, la Boga, la Boga!... — wzdychał chłop, uznając, że ziemia ma rację».

«Placówka» jest powieścią chłopską. Dowiadujemy się z niej, jak chłop polski myśli i czuje, poznajemy go do gruntu. Bez wad on nie jest, ale dobre strony w nim przeważają — można na nim polegać i trzeba uciec dla niego szacunek. Światła tylko więcej! Nauki chłopom potrzeba, by mogli rolę uprawiać lepiej i mieć z niej większy pożytek; trzeba im wiązać się w spółki, by łatwiej mogli sobie poradzić i uwolnić się od wyzysku — oto, co jeszcze można z «Placówki» wyczytać. Bo Prus, cokolwiek pisał, pisał prawie zawsze z myślą o pożytku, jaki z jego artykułu czy powieści wypłynie. Nie darmo chwycił za pióro w tych czasach, kiedy wołano, że na-

wet poezja powinna być użyteczna. Tej zasadzie pozostał też wierny. A że największych korzyści dla sprawy narodowej spodziewano się z oświecenia i z uobywatelenia ludu, cóż dziwnego, że właśnie chłopem zajął się Prus tak gorąco. I nie tylko w «Placówce». Cały szereg obrazków, nowel, opowiadań poświęcił życiu ludu. Gdy zauważył u jednostek wśród chłopów wyrabianie się zmysłu zapobiegliwości, oszczędności, cieszył się niezmiernie. Wołał o parcelację zadłużonych majątków, ale chciał, by nabywcami ziemi byli chłopci.

Młody pan Furdasiński (w obrazku p. n. «Stara bajka») musi sprzedać ojcowiznę, by spłacić wierzycieli. Na licytacji majątek kupił gospodarz z tej samej wsi, Kuba Grzyb, «i od razu na stół położył 38.000 rubli. Widząc, że chłop z siwymi włosami, nastroszonymi jak szopa, wydobywa z kobielei sturublowe bankocetle, pan Furdasiński odezwał się:

— I wy, Kubo, naprawdę kupujecie folwark?

Stary zdjął czapkę i pochylił się panu do nóg.

— Patrzałby mi się — rzekł — folwarczek choćby za pięćdziesiąt tysięcy, bo mam kupę hołoty, ale, za pozwoleniem jaśnie pana, wezmę i ten, bo zawzdyk lepi, coby się swoje zostało przy swoich. Nowe pomiary to ta będą jeszcze nieprędko, więc trza kupić, kiej się nadarza okazja».

Kuba Grzyb to oczywiście wzór do naśladowania, i Prus, widząc to, ceni bardzo tego gospodarza, którego pewnie nie zmyślił, lecz gdzieś naprawdę poznał. Ale ceni go jeszcze z innego powodu, nie tylko dlatego, że ciężką pracą naciulał parę dziesiątek tysięcy — oto Kuba Grzyb ma inny rys piękny: ma duszę miłosierną. On to rozumie, co to znaczy opuszczać ziemię, na której gospo-

darowali ojcowie, i iść w świat. Więc już po nabyciu folwarku, wieczorem stoi znów przed gankiem zlicytowanego właściciela. «Pan Furdasiński prędko wyszedł do niego.

— A czego to chcecie, Kubo? — spytał.

Chłopu trzęsła się głowa. Nagle podbiegł do byłego dziedzica i objął go za nogi.

— Ostańcie z nami, jasnie panie — mówił. — Chleba nam tu nie zbraknie, a pół dworu oddam wam do śmierci.

Pan Furdasiński zaczął mrugać oczyma, cofnął się do ganku i odparł:

— Nie mogę... Nie wypada...

— Zaznacie wiele biedy na świecie — mówił stary.

— Wszystko trzeba poznać...

Stary podbiegł ku wrotom i, machając czapką, wołał:

— Dzieci, żono, a chodźta żwawo, bo mnie nie słucha!...

Wtedy przed ganek wypadła gromada starszych i młodszych chłopów i kobiet, wielkim głosem zaklinając jasnie pana, żeby został».

Pan Furdasiński mimo zaklęć odjechał i nie wrócił, ale ileż wart ten Kuba, który rozumie ludzkie nieszczęście, choćby sprowadzone własną winą, i wyciąga do nawiedzonego dolą pomocną rękę. «Dusza ludu jest jak ogień pod granitem» — powiedział w innym miejscu Prus.

Trzeba tylko ogień ten dobyć, nie pozwolić mu zagasnąć, zmarnować się. Chłop ma ojczyznę odrodzić, a tymczasem ileż to wśród ludu uzdolnień najrozmaitszych nie może się rozwinąć, przepada! Czyż nie szkoda

tego kapitału, który mógłby wzrosnąć i dawać obfity procent na pożytek ogółu?

Jest mały chłopczyzna wiejski Antek. Wzrasta w otoczeniu ciemnym, pełnym przesądów. W wiosce jego rodzinnej «każdy dom chłopski, szarą słomą pokryty, miał ogródek, a w ogródku śliwki węgierki, spośród których widać było komin, sadzą uczerniony, i pożarną drabinę. Drabiny te zaprowadzono od niedawna, a ludzie myśleli, że one lepiej będą chronić chaty od ognia, niż dawniej bocianie gniazda. Toteż gdy płonął jaki budynek, *dziwili się bardzo, ale go nie ratowali.*

— Widać, że na tego gospodarza był dopust Boski — mówili między sobą. — Spalił się, choć miał przecie nową drabinę i choć zapłacił *śtraf* za starą, co to były w niej połamane szczeble».

Chował się Antek, jak to chowają się dzieci na wsi. Raz wpadł w rzekę, raz go psy pogryzły, że przez dwa tygodnie przeleżał się na piecu, a gdy miał lat pięć, kazano mu paść świnię. Ale Antek «nie bardzo się za nimi oglądał. Wołał patrzeć na drugą stronę Wisły, gdzie za wapiennym wzgórzem raz po raz pokazywało się coś wysokiego i czarnego. Wylaziło to z lewej strony, jakby spod ziemi, szło w górę i upadało na prawo. Za tym pierwszym szło zaraz drugie i trzecie, takie samo czarne i wysokie».

Antek patrzył i dziwił się, świnię lazły w kartofle, na plecy Antka spadały razy. Ale choć chłopiec bity za karę «prawie tchu nie mógł złapać» że to nie miał w sercu zawziętości, więc wykrzyczawszy się, pytał matki:

— Matulu! a co to takie czarne chodzi za Wisłą?

Matka objaśniła go:

— Tam za Wisłą? Cóż to nie widzisz, że wiatrak chodzi? A na drugi raz pilnuj świń, bo cię pokrzywami wysmaruje.

— Aha, wiatrak. A co on, matulu, za jeden?

— At, głupis! — odparła matka i uciekła do swojej roboty.

Ileż to razy rodzice odpowiadają w ten sposób dziecku, objawiającemu ciekawość godną szacunku. Prus matce moralów nie prawi, nie trudno przecież poznać, że według Prusa nie Antek był głupi.

Na szczęście chłopak nie poprzestał na otrzymanym objaśnieniu. Wiatrak nie dawał mu spokoju, widywał go w dzień i w nocy, przez sen nawet. Wreszcie «taka straszna urosła w chłopcu ciekawość», że jednego dnia zakradł się do promu, który ludzi na drugą stronę Wisły przewoził, wdrapał się na górę i obaczył to dziwo, o którym śnił. Zrazu nic nie rozumiał, ani «co to», ani «na co to». Ale z objaśnień pastuszków dowiedział się, że «na skrzydła dmucha wiatr i kręci nimi, jak liśćmi», dalej, że w wiatraku miele się zboże, wreszcie, że siedzi przy nim młynarz, który bije żonę.

Wiedział więc już, nie wszystko wprawdzie, ale przecież coś wiedział. Dostał z powrotem «parę razy w łeb» od przewoźników na promie, dostał i od matki, ale «kontent» był, bo zaspokoili ciekawość. Od tej pory świnię coraz częściej wchodziły w szkodę, a Antek od wschodu do zachodu słońca strugał patyki i układał je na krzyż, wystrugał też słup większy, ciosał dalej, obciosywał, ustawiał, aż nareszcie zbudował mały wiatraczek, który na wietrze poczynął bić skrzydłami. Radość to była wielka. «Teraz brakowało Antkowi tylko żony, żeby mógł ją bić, i już byłby z niego prawdziwy młynarz!»

Kozików do dziesiątego roku życia zepsuł sporo, ale czego nie wystrugał! Były tam wiatraki, ploty, drabiny, studnie, nawet chalupy całe. W wiejskim dziecku był materiał na znakomitego mechanika, może nawet na wynalazcę. Ale kto o tym wiedział w wiosce, gdzie sądzono, że drabina zabezpiecza od pożaru?! Matka zaś lamentowała:

— Co ja pocznę, nieszczęsna, z tym Antkiem odmieńcem? Ani to w chacie nic nie robi, ani bydła dogładnie, ino wciąż kraje te patyki, jakby co w niego wstąpiło. Już z niego nie będzie chyba gospodarz, ani nawet parobek, tylko darmozjadz, na śmiech ludziom i obrazę Boską!...

Gdy zaś stary kum Andrzej, słuchając tych narzekañ, wspomnił coś o rzemiośle, kobieta załamała ręce:

— Oj, kumie, co wy też gadacie! A czy to nie wstyd gospodarskiemu dziecku rzemiosła się imać i byle komu na obstalunek robotę robić?

Tego rodzaju przesady do dziś jeszcze tu i ówdzie pokutują. Zwalczał je Prus przez całe życie, a i «Antka» po to napisał, aby szkodliwość tych uprzedzeń wykazać.

Ostatecznie jednak, gdy chłopak doszedł do lat dwunastu, a do gospodarstwa się nie brał, trzeba było z nim coś zrobić. Za radą kuma Andrzeja oddano go tedy do kowala. Kowal «czasami walił chłopców aż puchli, a najwięcej dbał o to, ażeby się zbyt prędko nie wyuczyli kunsztu. Bo taki młodzik, wyszedłszy z terminu, mógłby pod boki swemu rodzonemu majstrowi kuźnię założyć i zmusić go do staranniejszej roboty». Toteż gdy Antek pod nieobecność majstra podkuł zgłaszającemu się chłopu konia, kowal przeraził się.

— Za mądryś ty, kochanku! — rzekł do niego. — Nauczyłbyś się fachu we trzy lata!... — i zabrał go do pracy w ogrodzie.

Wówczas Antek uciekł od kowala, wrócił do matki, sprawił sobie narzędzia i władał nimi tak biegle, że niektóre z jego wyrobów «począł nawet kupować Mordko szynkarz. Na co?... Antek o tym nie wiedział, chociaż jego wiatraki, chaty, sztuczne skrzynki, święci i rzezbione fajki rozchodziły się po całej okolicy. Dziwiono się talentowi nieznanego samouka, niegorzej nawet płacono za wyroby Mordce, ale o chłopca nikt się nie pytał, a tym bardziej nikt nie myślał o podaniu mu pomocy ręki».

Za radą starego Andrzeja, oblany łzami matki, poszedł wreszcie Antek w świat. Chciał uczyć się... Czy trafi na ludzi, którzyby się nim zajęli, czy nie zmarnuje się ten niepospolity chłopak, któż może wiedzieć?...

«Alboż kto pielęgnuje polne kwiaty, dzikie gruszki i wiśnie, choć niby wiadomo, że przy staraniu i z nich byłby większy pożytek?...»

Gorzki wyrzut zrobiony przez Prusa społeczeństwu. Dodajmy, że od czasu, gdy pisał on «Antka», zmieniło się wiele, że powstały szkoły fachowe, z których rok rocznie wychodzą dzielni pracownicy, że i przesąd do rzemiosła zanika, ale że tak się stało, to właśnie zasługa tego pokolenia, do którego Prus należał, a które wołało nieustannie: młoty w ruch! nie wolno marnować zdolności!

Obrazów z życia ludu wiejskiego — jak mówiliśmy — zostawił Prus sporo, najrozmaitsze sprawy w nich poruszał. Zawsze zaś chodziło mu z jednej strony o wykazanie, że chłop to człowiek godzien takiego sa-

mego szacunku, jak urzędnik, lekarz, hrabia, z drugiej o zwrócenie uwagi na pewne ujemne strony w stosunkach na wsi i o poprawę tych stosunków.

Przesady, zabobony, znachorstwo — ileż tego jeszcze pod słomianą strzechą!

Ma wdowa, ale nie biedna, bo gospodyni na swoim, ośmioletnią córkę Rozalię. Dziewczę ciężko zaniemogło. «Ciało miała gorące, oczy błędne i gadała od rzeczy. Matka z początku myślała, że dziewczyna przyczaja się, dała jej więc parę szturchańców. A gdy to nie pomogło, wytarła ją gorącym octem, a na drugi dzień napoiła wódką z piolunem. Wszystko na nic, a nawet gorzej, bo po wódce wystąpiły na dziewczuchę sine plamy. Wtedy wdowa wezwała na ratunek Grzegorzową, wielką znachorkę.

Mądra baba obejrzała chorą uważnie, opluła koło niej podłogę, jak należy, posmarowała ją nawet sadłem, ale — i to nie pomogło.

Wtedy rzekła do matki:

— Napalcie, kumo, w piecu do chleba. Trza dziewczynie zadać na dobre poty, to ją odejdzie.

Wdowa napaliła w piecu, jak się patrzy, i wygarnęła węgle, czekając dalszych rozkazów.

— No, teraz — rzekła znachorka — położyć dziewczuchę na sosnowej desce i wsadzić ją w piec na trzy Zdrowaśki. Ozdrowieje wnet, jakby kto ręką odjął!

Istotnie, położono Rozalię na sosnowej desce i wsadzono ją, nogami naprzód, do pieca.

Dziewczyna, gdy ją gorąco owiało, ocknęła się.

— Matulu, co wy ze mną robicie? — zawołała.

— Cicho, głupia, to ci przecie wyjdzie na zdrowie. Już ją wsunęły baby do polowy; dziewczyna po-

częła się rzucać, jak ryba w sieci. Uderzyła znachorkę, schwyciła matkę obu rękoma za szyję i w niebogłosy krzyczała:

— A dyc wy mnie spalicie, matulu!...

Już ją całkiem wsunęło, piec założono deską, i baby poczęły odmawiać trzy Zdrowaśki...

— Zdrowaś Panno Mario, łaski pełna...

— Matulu! matulu moja!... — jęczała nieszczęśliwa dziewczyna. — O matulu!...

— Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami.

Jakoś chora przestała bić deskę, rzucać się i krzyczeć. Trzy Zdrowaśki odmówiono, deskę odstawiono.

W głębi pieca leżał trup, ze skórą czerwoną, gdzieś niedzie oblażłą.

— Jezul! — krzyknęła matka, ujrzawszy dziewczynę niepodobną do ludzi.

I taki ogarnął ją żal po dziecku, że ledwie pomogła znachorce przenieść zwłoki na tapczan. Potem ukłękła na środku izby i, bijąc głową w klepisko, wołała:

— Oj, Grzegorzowa!... A cóż wyście najlepszego zrobili!...

Znachorka była markotna.

— Et!... cichobyście lepiej byli. Wy może myślicie, że dziewczysko od gorąca tak szczerwieniało? To tak z niej choroba wylazła, ino że trochę za prędko, więc i umorzyła niebogę. To wszystko przecie z mocy Boskiej...

We wsi nikt nie wiedział o przyczynie śmierci Rozalii. Umarła dziewczyna — to trudno. Widać, że już tak było przeznaczone. Alboż to jedno dziecko co rok we wsi umiera!...

Straszny obraz. Przesady, zabobony, ciemnota — nie trudno wyczytać z tej opowieści — to najpotężniejsi wrogowie ludzkości. I dlatego to walczył z nimi Prus tak zawzięcie. Czy jednak tylko chłopci są niewolnikami przesądów? Czy nie ma ich w mieście, nawet wśród ludzi ukształconych, czy tam nieszczęście nie powodują? Sprawa ta zajmowała długo Prusa, nieraz do niej powracał w «Kronikach», w artykułach, ale szeroko rozwinął rzecz dopiero w powieści pt. «Lalka».

III

«Lalka». — Osnowa powieści. — Warstwy społeczne przedstawione przez Prusa. — Przełom w społeczeństwie. — Wyobraziciel pokolenia ustępującego. — Kim jest bohater powieści? — Ludzie «nowi», Żydzi. — Myśl powieści. —

Epizody. — «Lalka» obrazem społeczeństwa.

Skąd taki tytuł powieści «Lalka»? Co oznacza? Lalka to panna, wychowana na sposób lalki, strojona, pieszczona, aż i wyrosła na lalkę, bo tam, gdzie u ludzi serce, u niej — próżnia. Jest to panna z rodu arystokratycznego, zwie się Izabela Łęcka. Ojciec jej majątku już prawie nie posiada, kamienica jego idzie na licytację, ale pan Łęcki nie zdaje sobie sprawy z położenia, zawsze pięknie się ubiera, nie żałuje nawet pieniędzy na podróż do Paryża, dla przyjemności, słowem, choć grozi mu ruina i choć środków utrzymania dostarcza mu zakochany w jego córce bogaty kupiec, on tego nie widzi i jak małe dziecko chodzi z uśmiechem nad przepaścią. O pracy jakiegokolwiek zupełnie nie pomyśli, nie potrafiłby zresztą pracować. A i po cóż pracować,

gdy pieniędzy — dzięki stosunkom z bogatym kupcem — nie brak.

Ów kupiec, Wokulski, stworzył spółkę do handlu z Wschodem, dobrze się rozwijającą, umieścił w niej kapitalik Łęckiego i płaci mu roczny procent. Suma procentu przewyższa o wiele sumę dochodu od kapitału Łęckiego, po prostu Wokulski dokłada sporo z własnej kieszeni, ale Łęcki nawet się nie zdziwi, gdy od stu rubli dostaje procentu czterdzieści! Rzecz jasna: Wokulski wspomaga ojca przez wzgląd na córkę, marzy bowiem o pojęciu panny Izabeli za żonę, a nim się to stanie, nie chciałby, by zasnęła niedostatku. Ale z jednej rzeczy nie zdaje sobie sprawy: z przesądów.

Kupiec? kupiec? co to jest kupiec? Kupiec mógłby być zarządcą majątku ojca, pełnomocnikiem, doradcą, ale nie mężem, jej, Izabeli. Ostatecznie mógłby się w niej kochać — ludzie kochają się nieszczęśliwie — mógłby nawet zastrzelić się z miłości, ale ożenić się z nią, z Izabelą? Żarty, niesmaczne żarty. Dodajmy, że Wokulski to człowiek bardzo wykształcony, przedsiębiorczy, niepospolity. Dzięki energii i pomysłowości dorobił się krociowego majątku, a używał go nie tylko dla siebie. Potrafił niejednemu podać w nieszczęściu pomocną dłoń, bolało go bowiem ludzkie cierpienie, zapewnił środki do życia dziesiątkom ludzi. Ale to wszystko «lalki» nie wzrusza. Wprawdzie Wokulski góruje ponad całym otoczeniem rozumem, sercem i wolą — cóż, kiedy przesiaduje w sklepie, prowadzi rachunki... Dopiero, kiedy Izabela widzi, że nie zjawia się żaden książę, by prosić ją na kolanach o rękę, gdy zbiera ją trwoga przed staropaniństwem, postanawia, choć z bólem serca, poświęcić się i uszczęśliwić Wokulskiego swą osobą. Ale on

poznaje, że panna czyni to z musu, a przekonywa się też, że Izabela w plochości swej jako narzeczona idzie za daleko. Brak jej prostej uczciwości. I wtedy wszystko się w Wokulskim rozprzega. Zlamany, sprzedaje sklep Żydom, wycofuje się ze spółki handlowej, na której czele stają również Żydzi, i popelnia samobójstwo. Lalka zmiażdżyła olbrzyma.

Taka jest osnowa powieści, ale choć nie jest ona tu czymś blahym, bo dzięki osnowie właśnie zdajemy sobie sprawę z niezdrowych stosunków panujących u nas, z szkodliwości przesądów, to przecież Prus prócz romansu dał w «Lalce» coś więcej. Oto roztoczył obraz życia, ludzi, prądów, dążeń całej tej części społeczeństwa polskiego, która zamieszkuje stolicę Polski. Przed oczyma czytelnika przesuwają się najrozmaitsze warstwy społeczne: arystokracja, szlachta, mieszczaństwo bogate, mieszczaństwo średnio zamożne, kupcy na dorobku, subiekci, dalej najbiedniejsi: wyrobnicy, woźnicy, wreszcie męty wielkomiejskie. Poznajemy chrześcijan, poznajemy Żydów. Nie brak w tym obrazie ani jednej warstwy społecznej, z wyjątkiem urzędników, ale ci w Warszawie do społeczeństwa polskiego nie należą.

Chwila dziejowa, w której rozgrywają się wypadki, przełomowa: żyje jeszcze pokolenie, którego dziełem był rok 1863-ci, ale już rozlega się hasło zerwania z mironkami, pracy «od podstaw», «organicznej», a zjawia się też prąd nowy: socjalizm. Jest to doba polszczenia się żywiołu niemieckiego, który wsiąkł w Królestwo, ale równocześnie jest to okres, w którym Żydzi, nawet ci, co się uważali za Polaków, poczynają otwarcie zrywać z polskością. Takie mnóstwo w «Lalce» spraw ważnych, pierwszorzędnych, obchodzących w wysokim stopniu

cały nasz naród, że trzeba powieść przeczytać raz, drugi i trzeci, ażeby dobrze uświadomić sobie wszystko, co autor chciał czytelnikowi powiedzieć i na co zwrócić jego uwagę.

Wyobrazicielem pokolenia, ustępującego z pola, jest w «Lalce» stary subiekt i przyjaciel Wokulskiego, Rzecki. To jeden z tych, którzy przygotowali rok 63-ci. Nowych stosunków, wytworzonych klęską, on już nie zrozumie. W innych wyrósł czasach, innych oglądał ludzi. Ojciec jego nieboszyk był wielbicielem Napoleona, wierzył, że sprawiedliwość Polsce wymierzy ród Bonapartych. Tę wiarę odziedziczył po ojcu syn. W pamiętniku, który spisuje pilnie, takie czyni Rzecki uwagi:

«Ze smutkiem od kilku lat uważam, że na świecie jest coraz mniej dobrych subiektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody. Skromny subiekt co kwartał ubiera się w spodnie nowego fasonu, w coraz dziwniejszy kapelusz i coraz inaczej wykładany kołnierzyk. Podobnie dzisiaj politycy co kwartał zmieniają wiarę: onegdaj wierzyli w Bismarka, wczoraj w Gambettę, a dziś w Bikonsfilda, który niedawno był Żydkiem¹⁾. Jak widać zapomniano, że w sklepie nie można stroić się w kołnierzyki tylko je sprzedawać, bo w przeciwnym razie gościom zabraknie towaru, a sklepowi gości. Zaś polityki nie należy opierać na szczęśliwych osobach, tylko na wielkich dynastiach. Metternich²⁾, był taki sławny jak Bismark... i — któż dziś o nim pamięta? Tymczasem ród Bonapartych trząsł

¹⁾ Gambetta stawiał zwycięski opór Prusakom, gdy w roku 1870 wkroczyli do Francji; Bikonsfild: znakomity angielski mąż stanu.

²⁾ Minister austriacki, obalony przez rewolucję w r. 1848.

Europą za Napoleona I, potem za Napoleona III, a i dzisiaj, choć niektórzy nazywają go bankrutem, wpływa na losy Francji. Zobaczycie, co jeszcze zrobi Napoleon IV, który po cichu uczy się sztuki wojennej u Anglików».

Marzyciel! Ale jakże nam drogi... Innych książek Rzecki nie czyta, jak dzieje Napoleona, tudzież wycinki z starych gazet, opisujących wojnę włoską — żyje w przeszłości.

W młodych latach był żołnierzem, odbył jako ochotnik kampanię węgierską z serdecznym swoim przyjacielem Augustem Katzem. Myślał: pomożemy my Węgrom, pomogą potem Węgry nam.

Oto — pamięta — stanęły naprzeciw siebie dwie armie. «Zatrąbiono — opisuje bitwę w pamiętniku — oficerowie zaczęli przemawiać.

— Chłopczy! — wrzeszczał na całe gardło nasz porucznik — zaskoczmy z boku szwabów, ot, tę kolumnę, widzicie?... Zaraz podeprze nas trzeci batalion i rezerwa... Niech żyją Węgry!...

Zaczęliśmy spuszczać się w równinę... Widzieliśmy pustą przestrzeń między dymem naszej i austriackiej piechoty... Nagle — błysnęła taśma stali, pochyliła się, i zobaczyłem setki wycelowanych do nas karabinów, lśniących jak igły w papierku. Potem zadymiło się, zgrzytnęło, jak łańcuch po żelaznej sztabie, a nad nami i około nas przeleciał wicher pocisków.

— Stój!... Pał!...

Wystrzeliłem co rychlej, pragnąc zasłonić się chociaż dymem. Pomimo huku usłyszałem za sobą niby uderzenie kijem w człowieka; ktoś z tyłu padł, zawadzając o mój tornister. Opanował mnie gniew i despe-

racja; czulem, że zginę, jeżeli nie zabiję niewidzialnego wroga. Nabijałem broń i strzelałem bez pamięci, trochę zniżając karabin i myśląc z dziką satysfakcją, że moje kule nie pójdą górą. Nie patrzyłem na bok, ani pod nogi; bałem się zobaczyć leżącego człowieka.

Wtem stało się coś nieoczekiwanego. W pobliżu nas zatrzeszczały bębny i rozległy się przeraźliwe piszczałki. Toż samo za nami. Ktoś krzyknął: «naprzód» i — nie wiem, z ilu piersi, wybuchnął krzyk, podobny do jęku, albo do wycia. Kolumna poruszyła się zwolna, prędzej, biegiem... Strzały prawie ucichły i odzywały się tylko pojedynczo... Z impetem uderzyłem o coś pierśmi, pechano się na mnie z wszystkich stron, pchałem się i ja...

— Kluj szwaba!... — krzyczał nieludzkim głosem Katz, rwąc się naprzód. Ale że nie mógł wydobyć się z ciżby, więc podniósł karabin i walił w tornistry stojących przed nami kolegów.

Pobiegłem za kolumną. Nasi byli już na wzgórzach, gdzie stały austriackie baterie. Wdrapawszy się za innymi, zobaczyłem jedną armatę przewróconą, drugą zaprzęzoną i otoczoną przez naszych. Katz przebił bagnetem konia z pierwszej pary, a kanonier austriacki chciał zwalić go w łeb wyciorem. Schwyciłem kanoniera za kołnierz i nagłym ruchem w tył przewróciłem go na ziemię. Katz i jego chciał przebieć.

— Co robisz, wariacie?... — zawołałem, odbijając mu karabin.

Wtedy rozwścieczony rzucił się na mnie, ale stojący obok oficer palaszem odtrącił mu bagnet.

Dwie armaty były wzięte, za resztą pognali huzarzy...

Okolo czwartej po południu pułk nasz ściągnięto; było po bitwie...

Węgry, wsparci ochotnikami polskimi, odnieśli zwycięstwo. Ale była to już jedna z ostatnich bitew wygranych. W sierpniu 1849 r. Görgey poddał się pod Vilagos...

«Dowiedziawszy się o tym — opowiada dalej Rzecki w pamiętniku — Katz rzucił szpadę na ziemię (byliśmy już obaj oficerami) i powiedział, że teraz tylko sobie w łeb strzelić. Ja jednak, pamiętając, że we Francji już siedzi Napoleon, dodałem mu otuchy i — przekradliśmy się do Komorna».

Było ich pięciu towarzyszy: Rzecki, Katz, Liptak, Stein, Szapary. Wszyscy połamali szpady, przebrali się za chłopów, ukryli pod odzieżą pistolety i ruszyli w stronę Turcji. Po bezdrożach, lasach szli trzy tygodnie. «Pod nogami błoto, nad głowami deszcz jesienny, za plecami patrole, a przed nami — wieczne wygnanie — oto byli nasi towarzysze». Mimo to humorów nie brakło, bo jedni liczyli na pomoc Turcji, drudzy na Napoleona. «Tylko Katz był pochmurny. On najczęściej odpoczywał i jakoś prędzej mizerniał; miał spieczone usta, a w oczach blade iskry.

Niedaleko rzeki Sawy — opowiada Rzecki — nie wiem którego dnia naszej wędrówki, znaleźliśmy w pustej okolicy kilka chat, gdzie nas bardzo gościnnie przyjęto. Katz siedział na ławie naprzeciw komina i smutno patrzył w ogień.

— Ty, Katz, niedługo w sprawiedliwość Boską przestaniesz wierzyć — odezwał się Szapary, marszcząc brwi.

— Nie ma sprawiedliwości dla tych, którzy nie

umieli zginać z bronią w rękę! — krzyknął Katz. — Głupi wy i ja z wami... Turek albo Francuz nadstawi za was karku?... Czemużecie wy sami nie umieli go nadstawić?...

— Ma gorączkę — szepnął Stein. — Będzie z nim kłopot w drodze...

— Węgry!... już nie ma Węgier! — mruknął Katz. — Równość... nigdy nie było równości!... Sprawiedliwość... nigdy jej nie będzie... Świnia wykąpie się nawet w bagnie; ale człowiek z sercem!...

Zmiarkowałem, że Katz jest bardzo chory. Zbliżyłem się do niego i, ciągnąc go na grochowiny, rzekłem:

— Chodź, Auguście, chodź...

— Gdzie pójde?... — odparł.

A potem dodał:

— Z Węgier wypędzili, do szwabów się nie zaciągnę...

Mimo to leżał na barlogu. Ogień na kominie wygasł. Dopiliśmy wódkę i położyliśmy się rzędem z pistoletami w garści. W szczelinach chaty wiatr jęczał, jakby całe Węgry płakały, a nas zmorzył sen. Śniło mi się, że jestem małym chłopcem i że jest Boże Narodzenie. Na stole płonie choinka... Obudziłem się, łkając z żalu za moim dzieciństwem. Ktoś szarpał mię za ramię.

Był to chłop, właściciel chaty. Podniósł mnie z grochowin i, wskazując w stronę Katza, mówił przerażony:

— Patrzcie, panie wojak... Z nim się coś złego stało...

Porwał z komina łuczywo i zaświecił. Spojrzałem: Katz leżał na barlogu skurczony, z wystrzelonym pistoletem w rękę. Ogniste płatki przeleciały mi przed oczyma, i zdaje mi się, że zemdlał.

Ocknąłem się na furze, którą właśnie dojeżdżaliśmy do Sawy. Już dniało. Było na wozie nas czterech i piąty furman. Przecież powinno być pięciu... Szukałem Katza, nie mogłem go dopatrzeć. Nie pytałem o niego; płacz ścisnął mnie za gardło i myślałem, że mnie udusi.

Ej, bracie Katz, cożes ty zrobił najlepszego?... Czasem zdaje mi się, żeś znalazł tam w niebie i węgierską piechotę i swój wystrzelany pluton... Niekiedy słyszę łoskot bębnow, ostry rytm marszu i komendę: na ramię broń!... A wtedy myślę, że to ty, Katz, idziesz na zmianę warty przed Bożym tronem...»

«Ale — jeżeli tam w niebie nie ma węgierskiej piechoty, to po coś ty tam poszedł, Katz?...»

Dlaczego Prus wprowadził do powieści postać Rzeckiego, to już wiemy. Dlaczego jednak kazał mu pisać pamiętnik i opowiadać w nim dawne, minione dzieje? Bo z tego pamiętnika najlepiej właśnie poznamy to pokolenie, które po roku 63-cim zeszło z pola. Przeżyło to pokolenie młodość górną i chmurną, szło z bagnetem w rękę wszędzie, gdzie walczone o wolność, wierzyło w bliską sprawiedliwość. Pomogą nam Węgrzy, nie zapomni o nas Turcja, Francja... Tak się ludzono. Liczono ciągle na obcą pomoc, zapominano o rzeczywistości.

Rzecki już takim pozostanie. Ciągłe będzie politykował sam i w każdym kroku Wokulskiego dopatrywać będzie polityki. Zacny, nieoceniony Rzecki, ale tego nie zrozumie już, że ani strzelać się nie wolno, jak to uczynił Katz, ani czekać na pomoc Francji, ale pracować u siebie i dla siebie i liczyć na własne siły. Samo politykowanie nie zrodzi nic. Pojechał Wokulski

w sprawach handlowych do Paryża. Rzecki notuje zaraz w pamiętniku: «Cyt...?... Po co on tak nagle wyjechał do Paryża?... On mi mówi o wielkich magazynach do nafty, czy do kolei, czy też do cukrowni?... Ale czy ty, aniołku, zamiast po nadzwyczajne maszyny, nie jedziesz po zwykłe armaty?... Francja, tylko patrzeć, jak weźmie się za leb z Niemcami... Mały Napoleonek niby to siedzi w Anglii; ale przecież z Londynu do Paryża bliżej, niż z Warszawy do Zamościa... Ej!... tu gotuje się jakaś gruba kabała... W tym jest coś z *p...* (w takich razach najwłaściwiej mówić skrótami). W tym jest jakieś duże *p...*» (To tajemnicze *p...* oznacza oczywiście *politykę*). Gdzieby bowiem Rzecki polityki nie dopatrzył!

Zerwał z nią Wokulski, jak zerwało (do czasu) całe pokolenie młodych po roku 63-cim, ale wyobraźcielem tych młodych nie jest Wokulski. Jest bo w nim jakby dwóch ludzi. Ma on w sobie zdolności na wielkiego działacza społecznego, ma dużo trzeźwości, tej, która przyszła po klęsce, potrafi wytwarzać nowe siły, nowe źródła pracy, dobrobytu, znakomicie poprowadzi sklep, świetnie zorganizuje spółkę handlową, hasło pracy «organicznej» wcielił w czyn, ale marzycielstwa, które przeszło na niego w spadku po ustępującym pokoleniu, nie pozbył się, kocha się jak Gustaw z «Dziadów» Mickiewicza, a gdy ukochana go zawodzi, kończy samobójstwem. Jest to tedy postać niejednolita, złożona, jedna z takich, które zjawiają się zawsze w dobie przejściowej. Jest też w Wokulskim wiele z samego Prusa...

Ale są w powieści i tacy, którzy istotnie całkowicie poświęcili się pracy «organicznej». Są to kupcy i handlowcy. Niestety ci pojęli nowe hasło jako hasło osobi-

stego wzbogacania się, «robią pieniądze» i poza tym nic ich nie obchodzi. Żadnych wyższych celów nie dostrzeżemy u nich, żadnych myśli, któreby wybiegały poza magazyn sklepowy. Program «młodych» wypaczyli zupełnie.

Kiedy jednak mieszczaństwo zdobywa majątki, równocześnie w ukryciu kielkuje ziarno socjalizmu. Nawet w sklepie Wokulskiego jest socjalista, subiekt Klein, i ten — acz nieśmiało — stara się szerzyć swą naukę wśród kolegów sklepowych. Skutków nie widzimy, Warszawa bowiem w tych czasach nie liczyła jeszcze wielu wyznawców socjalizmu, ale Prus, jako bystry spostrzegacz, nie zapominał zwrócić uwagi i na ten objaw.

A wśród tych przekształceń dokonywujących się w społeczeństwie drzemie arystokracja, nieruchoma, bezczynna, jeżeli zaś zbudzi się z drzemki, to po to chyba, by urządzić wyścigi, pojedynki, bal, kwestę... Oto owoce klęski. Potomkom wielkich rodów obecny rząd zamknął drogę do pracy na tych polach, na których pracowali przywykli, do nowych warunków nie mieli jeszcze czasu się przystosować. Więc drzemią z szkodą dla ogółu.

¶ Nie drzemią Żydzi. Organizują się, głoszą otwarcie, że są Żydami, nie Polakami, a popycha jednych do tego wyodrębniania się, według autora, antysemityzm społeczeństwa polskiego, drugich przekonanie. Prus był zawsze wrogiem antysemityzmu, a nigdy nie był wrogiem Żydów, ale wierny swej zasadzie, nie ukrywa wad, których wśród Żydów dostrzegł. Wokulski przyjmuje do swego sklepu na subiekta niejakiego Henryka Schlangbauma. Zrazu jest Schlangbaum cichy, pokorny,

ale gdy tylko kupi sklep od Wokulskiego, przekształci się w innego człowieka.

«Anibym myślał — pisze o nim Rzecki w swym pamiętniku — że on tak potrafi zadzierać nosa. Już widzę zapoznał się z baronami, przez baronów z hrabiami, w sklepie rozpanoszył się i ażeby okazać swoją władzę, wypędził szwajcara i inkasenta, za to tylko, że nie okazali mu dosyć szacunku.

Kiedy prosiłem za biedakami, odparł z gniewem:

— Patrz pan, jak oni mnie traktują, a jak Wokulskiego!... Jemu nie klaniali się tak nisko, ale w każdym ruchu, w każdym spojrzeniu było widać, żeby za nim poszli w ogień...

— Więc i pan, panie Schlangbaumie, chcesz, ażeby za tobą szli w ogień? — spytałem.

— Naturalnie. Przecie jedzą mój chleb, mają u mnie zarobki. Ja im płacę pensję...

Myślałem, że Lisiecki (subiekt, antysemita), który posiniał, słuchając tych bredni, palnie go w ucho; po- hamował się jednak i tylko spytał:

— A czy wiesz pan, dlaczego my za Wokulskim poszlibyśmy w ogień?...

— Bo on ma więcej pieniędzy — odparł Schlangbaum.

— Nie, panie. Bo on ma to, czego pan nie masz i mieć nie będziesz — rzekł Lisiecki, bijąc się w piersi.

Schlangbaum zaczerwienił się jak upiór.

— Co to jest?... — zawołał. — Czego ja nie mam?... My nie możemy razem pracować, panie Lisiecki...

Schwyciłem Lisieckiego za rękę i odciągnąłem za szafy. Nie mogę jednak ukryć przed sobą, że Schlangbaum mocno zmienił się w ciągu roku. Dawniej był po-

tulny, dziś arogant i pogardliwy, dawniej milczał, kiedy go krzywdzono, dziś sam rozbija się bez powodu. Dawniej mianował się Polakiem, dziś chelpi się ze swego żydostwa. Dawniej nawet wierzył w szlachetność i bezinteresowność, a teraz mówi tylko o swoich pieniądzach i stosunkach.

Za to wobec gości jest uniżony, a hrabiom, a nawet baronom wlaźliby pod podeszwy. Ale wobec swoich podwładnych istny hipopotam: ciągle parska i depce ludzi po nogach. To nawet nie jest pięknie...»

Towar też w sklepie tańszy nieco, niż był za Wokulskiego, ale za to tandeta...

«Genialna rasa, ale łajdaki» — mówi o Żydach przyjaciel Wokulskiego, doktor, sam Żyd. Prus zapatrywań doktora nie podziela, widzi bowiem w Żydach dużo wad, ale i zalet; w «Lalce» występują Żydzi przede wszystkim jako siła, coraz się wzmagająca, wobec której ogół polski stanął chwilowo bezradny.

Ratuje się społeczeństwo częściowo polszczeniem żywiołu niemieckiego. Stary Mincel, kupiec (ongiś pryncypał Rzeckiego), gdy mu wspomniano o Napoleonie, wrzeszczał bliski apopleksji: szelma! szpitzbut, rozbójnik! A syn jego, Jan, już jest bonapartystą i ród swój wyprowadza od zniemczonych Polaków Miętusów (!). «Dość było jednego kieliszka wina, ażeby Jan Mincel zaczął bić pięściami w stół, albo w plecy swoich sąsiadów i wrzeszczeć: Czuję w sobie starożytną polską krew!... Niemka nie mogłaby mnie urodzić!... — cóż kiedy Mincel wraz ze spolszczeniem się zatracił widocznie i przedsiębiorczość niemiecką, bo gdy Wokulski sprzedaje sklep i ustępuje ze spółki, nie Minclowie-Miętusy zajmują jego miejsce, lecz Schlangbaum.

Koniec tedy byłby bardzo smutny. Dzielną jednostkę złamały przesady, niezdrowe stosunki, kastowość, panująca w społeczeństwie, a następca Wokulskiego już w oczach naszych staje się szkodnikiem i niebezpiecznym wrogiem tych, wśród których wyrósł.

Czy jednak naprawdę stan społeczeństwa polskiego jest aż tak beznadziejny? Czy praca takich ludzi, jak Wokulski, choćby na razie pogrzebana, może pójść na marne? Czy pokoleniu, które po roku 63-cim chciało budować, to tylko było przeznaczone, by poszło na pokarm Schlangbaumom? Nie, tego Prus nie chciał powiedzieć. Wierzył on, że każdy trud i każdy szlachetny czyn przyniesie prędzej czy później owoce i że chwilowe niepowodzenie nie jest jeszcze klęską. Trzeba nam tylko ludzi dobrej woli, mających w sercu dużo miłości, którzyby rąk nie opuszczali, lecz wytrwale zmierzali do celu. Że takie było istotnie przekonanie Prusa, o tym pouczą nas następne jego dzieła. Nim do nich przejdziemy, zatrzymamy się jeszcze na chwilę przy «Lalce».

Jest to jedna z tych powieści, którą każdy powinien przeczytać. Autor bierze w niej czytelnika w swą moc, każe mu poddawać się kolejno rozmaitym wrażeniom i uczuciom. Raz zdaje nam się, że słuchamy spokojnej, milej gawędy, to znów bliscy jesteśmy łez, to śmiejemy się pełną piersią. Humor Prusa uwydatnił się najsilniej przy kreśleniu prześlicznej postaci Rzeckiego — pamiętnik starego subiekta jest wprost arcydziełem. Szanując, kochając byłego węgierskiego legionistę, uśmiejemy się zawsze, gdy mówi, ale w tym półuśmiechu więcej rozrzewnienia, niż wesołości.

Bogactwo spostrzeżeń niezwykle. Co za ogromna

ilość postaci, a jakich świetnych! Nie mówimy już o Wokulskim, Izabeli, Rzeckim, ale obok nich coś to za tłum różnobarwny. Więc opiekujący się Wokulskim książe, człowiek zacny, dobry Polak, ale niezdolny poza urządzaniem posiedzeń do żadnego działania, więc naiwny pan Łęcki, ojciec Izabeli, więc rozmaici hrabiowie (z których jeden stale udaje Anglika), więc utracjusz pan baron Krzeszowski z swą chorą na nerwy żoną, a dalej rodzina Minclów, subiekci sklepowi, zbankrutowany obywatel Wirski itd. itd. Osobne stanowisko w tym tak licznym tłumie postaci zajmują studenci uniwersytetu. Nigdy, czytając «Lalkę», nie śmiejemy się tak serdecznie, jak wówczas, gdy oglądamy ich właśnie.

Mieszkają oni w kamienicy ongiś Łęckiego, potem Wokulskiego, obecnie zaś pani baronowej Krzeszowskiej. Jest to kobieta zła i chora równocześnie. Mąż jej trwoni majątek, ona nie żyje z nim, gryzie się tym, a za swój los mściłaby się na całym świecie. Dokucza też każdemu, nie oszczędzi i Wokulskiego, gdy trzeba, rzuci potwarz, oszczerstwo. Słowem jest to kobieta, z którą lepiej nie mieć nic do czynienia. Ale trafiła na swoich. Studenci, lokatorowie jej domu, to jakby kara Boska na tę niegodziwą babę. Wieczne ma z nimi nieszczęścia. Nie dość, że nie placą komornego i nie chcą się ustąpić, jeszcze — niech tylko baronowa wychyli głowę przez okno, już jeden mierzy w tę głowę zgniłym śledziem, drugi bierze dzbanek czy inne naczynie, by pani Krzeszowskiej splókać fryzurę. (Mieszkali nad baronową). Oczywiście, pani Krzeszowska nie myśli cierpieć takich lokatorów w swej kamienicy, pozywa ich do sądu. A jest owych studentów trzech: przystojny, noszący faworytki,

Maleski, mizerny, brzydki i ponury Patkiewicz i trzeci, stale w domu nieobecny.

«Rozprawa sądowa rozpoczyna się:

— Jak się panowie nazywacie? — spytał sędzia.

— Maleski — odparł z ukłonem właściciel faworytów — i Patkiewicz... — dodał, wskazując gestem, pełnym dystynkcji, na ponurego towarzysza.

— A trzeci pan gdzie?

— Jest cierpiący — odparł, krygując się, pan Maleski. — Jest to nasz sublokator i zresztą bardzo rzadko mieszka z nami.

— Jak to: bardzo rzadko? Gdzież on siedzi w dzień?

— W uniwersytecie, w prosektorium, czasem na obiedzie.

— A gdzież on zapisany w księgi?

— O, zapisany jest ciągle w naszym domu, ponieważ nie chciałby robić władzom kłopotów — objaśnił pan Maleski z miną lorda.

Sędzia zwrócił się do pani Krzeszowskiej.

— Cóż, pani wciąż nie chce trzymać tych panów?

— Za żadne skarby! — jęknęła pani baronowa. — Po całych nocach ryczą, tupią, pieją, gwiżdżą... Ach, Boże!... — krzyknęła, odwracając głowę.

Sędzia był zdziwiony wykrzyknikiem, ale obecni na sali nie... Spostrzegli bowiem, że pan Patkiewicz, przyciskając do piersi obie ręce, nagle wywrócił oczy i opuścił dolną szczękę w taki sposób, że zrobił się podobny do stojącego trupa. Jego twarz i cała postawa mogła przerazić nawet zdrowego człowieka.

— Najokropniejsze jest to, że ci panowie wylewają oknem jakieś płyny...

— Czy na panią? — spytał zuchwale pan Maleski.

Baronowa posiniała z gniewu, ale umilkła; wstyd jej było przyznać się...

— Cóż dalej? — pytał sędzia.

— Ale najgorsze z wszystkiego (przez co nawet wpadłam w nerwową chorobę), że ci panowie po kilka razy na dzień stukają do mego okna trupią główką...

— Będę miał honor objaśnić pana sędziego — odparł Maleski, z postawą człowieka, który chce zatańczyć. — Nam służy stróż domu, mieszkający na dole, ażeby więc nie marnować się schodzeniem i wchodzeniem na trzecie piętro, mamy u siebie długi sznur, wiemy na nim, co jest pod ręką (może czasem zdarzyć się i trupia główka) i... pukamy do jego okna — zakończył tak słodkim tonem, że trudno było przestraszyć się równie delikatnego pukania.

— Ach, Boże!... — krzyknęła znowu pani baronowa, zataczając się.

— Oczywiście chora kobieta... — mruknął Maleski.

— Nie chora! — zawołała baronowa. — Ale wysłuchaj mnie, panie sędzio!... Ja nie mogę patrzeć na tego drugiego... bo on ciągle robi miny, jak nieboszczyk... — zakończyła ze łzami.

— Słowo honoru, że ta pani ma przywidzenia — rzekł Maleski. — Kto tu jest podobny do nieboszczyka?... Taki przystojny chłopak... — dodał, wypychając naprzód mizernego kolegę, który... w tej chwili właśnie już po raz piąty udawał trupa.

W sali wybuchnął śmiech; sędzia dla uratowania powagi, zanurzył głowę w papierach i, po dłuższej pauzie, surowo zapowiedział, że śmiać się nie wolno i że każdy, zakłócający porządek, ulegnie karze pieniężnej.

Korzystając z zamieszania, Patkiewicz szarpnął kolegę za rękaw i szepnął ponuro:

— Cóż ty, świnię Maleski, kpisz sobie ze mnie w publicznym miejscu?

— Bo jesteś przystojny, Patkiewicz...

— Kiedyż panowie zapłacą dwanaście rubli, kopiejek pięćdziesiąt, za miesiąc styczeń — spytał sędzia.

Pan Patkiewicz udał tym razem człowieka, który ma bielmo na lewym oku i lewą część twarzy sparaliżowaną; pan Maleski zaś pograżył się w głębokim zamysleniu.

— Gdybyśmy — rzekł po chwili — mogli zostać do wakacyj, to... Ale tak!... Niech nam pani baronowa zabierze umeblowanie.

— Ach, nie już nie chcę, nie... Tylko wyprowadźcie się panowie! Nie mam żadnej pretensji o komorne... — zawołała baronowa.

— Ale my mamy do pani pretensję o szkody i straty! — odezwał się Maleski. — Kto słyszał o tej porze wymawiać przyzwoitym ludziom komorne?...

Sędzia tymczasem napisał i przeczytał wyrok, mocą którego panowie: Maleski i Patkiewicz. zostali skazani na zapłacenie dwunastu rubli i pięćdziesięciu kopiejek komornego, tudzież na opuszczenie lokalu przed 8-ym lutego.

Tu zdarzył się fakt nadzwyczajny. Pan Patkiewicz, usłyszawszy wyrok, doznał tak silnego wstrząśnienia moralnego, że twarz zrobiła mu się zieloną — i zemdlął. Szczęściem, padając, trafił w objęcia pana Maleskiego; inaczej strasznie rozbiłby się nieborak.

Naturalnie, w sali odezwały się głosy współczucia... Żydki zaczęły pokazywać palcami na baronową i chrzą-

kać. Zakłopotany sędzia przerwał posiedzenie i poszedł do swego pokoju, a dwaj stójkowi prawie wynieśli na rękach nieszczęśliwego młodzieńca, który tym razem był naprawdę podobny do trupa.

Dopiero w przedpokoju, gdy złożono go na ławce, a jeden z obecnych zawołał, ażeby oblać go wodą, chory nagle zerwał się i rzekł groźnie:

— No, no... tylko bez głupich żartów...

Po czym natychmiast sam ubrał się w palto, energicznie naciągnął niezbyt całe kalosze i lekkim krokiem opuścił sądową salę, ku zdziwieniu stójkowych, oskarżonych i świadków».

Wyborna jest także scena wyprowadzki studentów z domu pani baronowej. Komornik sądowy nie może do nich wejść, bo drzwi zamknięte, a oni twierdzą, że klucza nie mają, bo ktoś ich zamknął i klucz schował — pewnie pani baronowa. Więc komornik śle po ślusarza, a studenci tymczasem zaczynają przeprowadzkę przez okno, z trzeciego piętra, i zrzucają na podwórze sienniki, koldry, książki, trupie główki... Wtem w otwartym oknie ukazuje się krzesło, na krześle siada Patkiewicz, a dwaj koledzy spychają go na sznurach na dół. Komornika chwytają mdłości, stójkowy żegna się. «Skończcież, panowie, z tymi żartami!» woła komornik do studentów spuszcających Patkiewicza. «Ale ba, kiedy nam się sznur zerwał...» mówią tamci. «Ratuj się, Patkiewicz» woła z góry Maleski. Na dziedzińcu awantura, baby krzyczą i lamentują. «Stań pan na gzymsie!... Bij w okno...» woła do Patkiewicza komornik. Naturalnie Patkiewiczowi nie trzeba było dwa razy tego powtarzać, wlaźł przez okno do pokoju baronowej

i tu pokazał jej takiego trupa, że «baba z przestachu runęła na wznak».

Zapyta ktoś, po co Prus wprowadził te sceny ze studentami, jaki związek mają one z osnową «Lalki», czy autor uczynił to tylko w tym celu, by czytelnik, zgębiony smutnym tokiem wypadków w powieści, mógł się od czasu do czasu rozweselić? Być może, że i taka myśl przyświecała autorowi, ale główny powód jest inny: Prus — jak zwracaliśmy na to uwagę — chciał dać w «Lalce» obraz całego społeczeństwa polskiego w Warszawie, wszystkich jego warstw, stanów, zawodów, przeto i o studentach uniwersytetu nie mógł zapomnieć. Że zaś w młodych najwięcej swobody, fantazji, pustoty, więc też oni właśnie, studenci, wnoszą do powieści pierwiastek wesołości. Nie sądźmy jednak, by całym ich zajęciem było «pokazywanie trupa» i spuszczenie się na krzesłach z trzeciego piętra. Nie — w powieści widzimy, że ci mizerni, nędznie odziani Patkiewicze, i jak im na imię, pracują mimo głodu i chłodu wytrwale i że można z nich spodziewać się, gdy lata pustoty i niewybrednych figlów studenckich miną, pociechy dla społeczeństwa.

Sceny, przedstawiające życie studentów (i inne także sceny), nie łączą się ściśle z osnową powieści, to prawda. Ale autorowi, który określił sobie tak obszerne zadanie, jak odtworzenie obrazu społeczeństwa w danej chwili, wolno odbiegać czasem od wątku i dawać «epizody», tj. właśnie małe obrazki, z których poznajemy życie, zwyczaje, sposób myślenia, przesady, zabawy pewnych grup ludzkich, części przedstawianej całości. I takich epizodów jest istotnie w «Lalce» sporo. W niektórych występuje od razu osób wiele, a wszystkie po-

staci ruszają się, żyją, poznajemy je doskonale. Oto jeden z takich epizodów, pozwalający nam zawrzeć znajomość z mętami wielkomiejskimi, z rozmaitymi wydrwigroszami, którzy niedawno opuścili dom poprawy. Sala licytacyjna — licytować mają kamienicę pana Łęckiego.

Pan Łęcki, z nieopuszczającą go naiwnością dziecka, ocenia dom na 120.000 rubli; dom ten chce kupić baronowa, ale za cenę poniżej 70.000 rubli, a Wokulski dla ratowania od ruiny ojca ukochanej Izabeli — było to w początkach miłości — gotów zapłacić więcej, niż dom wart, bo 90.000 rubli. (Ażeby nie sprawiać pannie Łęckiej przykrości, podstawia na licytacji Schlangbau-ma). W ostatniej chwili przed licytacją żąda pan Łęcki od swego adwokata, ażeby za dom uzyskano przynajmniej 110.000. Co właściwie adwokat ma uczynić i czy w ogóle może to zrobić, by ktoś dał taką sumę na licytacji, nad tym się pan Łęcki nie zastanawia. On żąda, a rzeczą adwokata do żądania jego się zastosować.

— Hm! hm!... — mruczy adwokat.

W tej chwili zbliża się do pana Łęckiego *jegomość w szafirowych okularach z miną zakrystiana* i mówi:

— O co panu chodzi, panie hrabio?... Żeden adwokat nie podbije panu ceny domu... Od tego ja jeżdżem... Desz pan hrabia dwadzieścia rubli na koszt i jeden procent od każdego tysiąca nad sześćdziesiąt tysięcy...

Pan Łęcki patrzy na zakrystiana z wielką pogardą; kładzie nawet obie ręce w kieszenie spodni (co jemu samemu wydaje się dziwnym) i mówi:

— Dam jeden procent od każdego tysiąca wyżej nad sto dwadzieścia tysięcy rubli...

Zakrystian w szafirowych okularach kłania się, poruszając przy tym lewą łopatką, i odpowiada:

— Przeproszę pana hrabiego...

— Stój! — przerywa mu pan Łęcki. — Wyżej nad sto dziesięć...

— Przeproszę...

— Nad sto...

— Przeproszę...

— Niech was pioruny!... Więc ile chcesz?

— Jeden procencik od sumy wyższej nad siedemdziesiąt tysięcy i dwadzieścia rubelków na koszt... — mówi, kłaniając się do ziemi, zakrystian.

— Dziesięć rubli weźmiesz? — pyta fiolkowy z gniewu pan Łęcki.

— Ja i rubelkiem nie pogardzę...

Pan Łęcki wydobywa wspaniałe pugilares, z niego cały pęk szeleszczących dziesięciurublowek i jedną z nich daje zakrystianowi, który schyla się do ziemi.

— Zobaczysz jasnie wielmożny pan... — szepce zakrystian».

Przedtem zaś, przed chwilą, zawarty został układ między panią baronową, a innym jegomością (z m i n ą ł a j d a k a), który ze swej strony podjął się znów obniżyć wartość kamienicy, by baronowa mogła ją tanio kupić.

Rozpoczyna się licytowanie. Obecni słuchają opisu kamienicy, mającej trzy oficyny i trzy piętra, plac, ogród itd.

— Znam ten dom! — wykrzykuje nagle jegomość w szafirowych okularach z miną zakrystiana. — Znam ten dom!... Z zamkniętymi oczami wart sto dwadzieścia tysięcy rubli...

— Co pan zawracasz! — odzywa się stojący obok baronowej Krzeszowskiej pan z f i z j o g n o m i ą ł a j d a k a. Co to za dom?... Rudera... Trupiarnia!...

Pan Łęcki robi się bardzo fioletowy. Kiwa na zakrystiana i pyta go szeptem:

— Kto jest tamten łotr?...

— Tamten?... — pyta zakrystian. — To szubrawczyzna!... Niech pan hrabia nie zważa na niego... — I mówi na cały głos:

— Słowo honoru, za ten dom śmiało można dać sto trzydzieści tysięcy...

— Kto jest ten nikczemnik? — pyta baronowa jegomością z łajdacką miną. — Kto jest ten w niebieskich okularach?...

— Tamten?... — odpowiada zapytany. — To znany szubrawiec... niedawno siedział na Pawiaku...¹⁾. Niech pani na niego nie zważa... Plunąć nie warto...

— Cicho tam!... — woła urzędowy głos od stołu.

Zakrystian mruga na pana Łęckiego, uśmiechając się familiarnie, i pcha się do stołu między licytantów.

— Sześćdziesiąt tysięcy i pięćset rubli — mówi cicho adwokat pani Krzeszowskiej.

— Dalibóg! więcej nie warto... — wtrąca jegomość z m i n ą ł a j d a k a.

Baronowa triumfalnie spogląda na pana Łęckiego.

— Sześćdziesiąt pięć... — odzywa się jakiś pan wspaniałej postaci.

— Sześćdziesiąt sześć... — dodaje Schlangbaum.

— Siedemdziesiąt tysięcy! — wrzeszczy zakrystian.

¹⁾ Więzienie w Warszawie.

— Ach! ach! ach! — wybucha płaczem baronowa, upadając na wyplataną kanapkę.

— Siedemdziesiąt pięć tysięcy!... — woła okazały pan.

Pan Łęcki blade uśmiecha się, licytacja trwa dalej. Ostatecznie kupuje dom podstawiony przez Wokulskiego Schlangbaum za 90.000 rubli.

«Pan Łęcki toczy dokoła błędnym wzrokiem i teraz dopiero spostrzega swego adwokata.

— A, panie mecenasie — mówi drżącym głosem — tak się nie godzi.

— Co się nie godzi!...

— Nie godzi się... to jest nieuczciwie!... — powtarza wzburzony pan Łęcki.

— Co się nie godzi?... — odpowiada już nieco podrażniony adwokat. — Po spłaceniu długów zyskuje pan trzydzieści tysięcy rubli...

— Ale mnie ten dom kosztował sto tysięcy, a mógł był pójść, gdyby lepiej pil-no-wa-no... za sto dwadzieścia tysięcy...

— Tak — potwierdza zakrystian — dom wart ze sto dwadzieścia tysięcy...

— O!... słyszy pan, panie mecenasie?... — mówi pan Łęcki. — Gdyby się do-pil-no-wa-no...

— Ależ panie, proszę mi nie mówić impertynencyj!... Słucha pan rad pokątnych doradców. Iotrów z Pawiaka...

— O! bardzo proszę — odpowiada obrażony zakrystian. — Nie każdy jest łotrem, kto siedział na Pawiaku... A co do udzielania rad...

— Tak... dom był wart sto dwadzieścia tysięcy!... —

odzywa się całkiem nieoczekiwany sprzymierzeniec w osobie jegomościa z lajdacką miną.

Pan Łęcki patrzy na niego szklanymi oczyma, ale jeszcze nie może zorientować się w położeniu. Nie żegna się z adwokatem, nakłada w sali kapelusz i wychodzi.

Zakrystian w szafirowych okularach i jegomość z miną lajdaka to pewno przyjaciele. Przyjaźń zawarli oczywiście w Pawiaku, a ich zajęciem obecnym chodzenie po licytacjach i przyłączanie się do stron za odpowiednią opłatą. Jeden podbija ceny, drugi obniża, przy czym wzajemnie obrzucają się obelgami. Po licytacji z pewnością «zarobek» wspólnie przepiją. Męty wielkomiejskie...

Takich obrazków z życia Warszawy, najrozmaitszych warstw, w «Lalce» mnóstwo. Wystarczy przypomnieć kwestę wielkanocną, sceny w sklepie, przyjęcie wielkopańskie, sesję u księcia, wyścigi itd.

Kto pragnie poznać społeczeństwo stolicy Polski w ósmym dziesiątku ubiegłego stulecia, niech przeczyta «Lalkę». Będzie mu się zdawało, że patrzy na ludzi, że słyszy ich rozmowy. Zrozumie też przełom, który się w tych czasach dokonał, pojmie, przez jakie wahania przechodziła dusza narodu. Pozna najlepszych w narodzie i najgorszych, uświadomi sobie, że zbiorowisko ludzkie nie jest tłumem, w którym każda jednostka idzie swoją drogą, lecz że grupy ludzkie nawzajem na siebie wpływają, zależą od siebie.

«Lalka» jest wielkim dziełem — pięknym i użytecznym.

IV

«Emancypacja»? — Prus o «wyzwoleniu» kobiety. — Powieść «Emancypantki». — Co sądzą kobiety w powieści Prusa o «emancypacji»? — Różne postaci «emancypantek». — Bohalterka powieści. — Użyteczność jako hasło i przykazanie. — Zwrot w wyobrażeniach.

Kiedy w latach 1870, 1875 mówiono o «pracy od podstaw», o oświecaniu szerokich warstw, nie zapomniano również o «emancypacji» kobiet. Przez emancypację rozumiano z r ó w n a n i e kobiety z mężczyzną, zapewnienie jej tych samych praw, które posiada druga połowa rodzaju ludzkiego. Pisano w tej sprawie szeregi artykułów, młodzi oświadczały się gorąco za równouprawnieniem kobiet. I Prus także zabierał niejednokrotnie głos w tej kwestii. Ale jak przy rozpatrywaniu rozmaitych zagadnień, które nastroczała chwila, w skrajność nie popadał, tak i wobec hasła «emancypacji» kobiet okazał dużo samodzielności, od zaślepienia był najzupełniej daleki. Przede wszystkim bowiem wierny był zasadzie, stałe przez siebie głoszonej, a dającej się streścić w słowach: *człowiek wtedy spełnia swe zadanie na ziemi, gdy jest użyteczny społeczeństwu*. O ile więc równouprawnienie kobiet przyniosłoby p o ż y t e k ogółowi, możnaby — według Prusa — zgodzić się na nie. Ale tylko w tym wypadku.

Jeszcze przed rokiem 1880-tym poruszał Prus kilkakrotnie tę sprawę, mianowicie w «Kronikach». Czynił to najczęściej w sposób żartobliwy, ale spod osłony żartu przeglądały jasno zapatrywania autora. «W epoce — czytamy w jednej z «Kronik» — kiedym był o tyle

jeszcze niezamożnym, o ile wygolonym studencikiem, w owej epoce spotykałem mnóstwo rozkosznych trajkotek, które spędziwszy dzień na ziewaniu, bawiły wieczorami młodzież szerokimi rozprawami o pracy kobiet, medycynie, rachunku różniczkowym itd. Przykłady działalności kobiecej sypały się wówczas, jak plewy z młynka. Kobiety Amerykę odkryły, sztukę stworzyły, słowem do roku 1870 kobiety były wszystkim, w r. 1870 zostały pozbawione praw im należnych, po roku zaś 1870 miały je odzyskać i od tej pory popchnąć świat na nowe zupełnie tory. Zadatkami owej lepszej przyszłości i oznaką zbliżającego się wieku odrodzenia były trzy fakty: Ktoś miał zamiar otworzyć zakład rękodzielniczy dla kobiet, ktoś inny chciał wydawać kalendarz przeznaczony dla panien i pani Eugenia Pieniążkowa uczyła się szewstwa». Otóż zakład rękodzielniczy się nie powiódł, kalendarz zawiódł oczekiwania płci wojującej, ale pani Eugenia Pieniążkowa szewstwa się nauczyła, założyła warsztat, zdobyła samodzielny byt i dała zajęcie sześciu kobietom, które może ocaliła od śmierci głodowej. T a k i e j emancypacji jest Prus zwolennikiem bez zastrzeżeń.

Ale kobiety chciałyby być całkowicie zrównane z mężczyznami. Prus uśmiecha się na to. O zupełnym zrównaniu nie ma mowy choćby z powodu różnicy płci i wynikających stąd następstw. Czy kobieta mogłaby być żołnierzem?...

A więc Prus jest przeciwnikiem emancypacji kobiet? Wcale nie, ale pojmuję ją inaczej, niż niektóre panie, które paliły papierosy, a mężczyznami gardziły. Przede wszystkim nie wierzy Prus, ale to stanowczo nie wierzy, jakoby kobieta mogła żywić niechęć ku

wszystkim mężczyznom. Potrzebę wyższego kształcenia kobiet uznaje, lecz sądzi, że kobiety nie powinny zaczynać od wołania o prawa, ale od pełnienia obowiązków. Gdy w tym lub owym zakresie działania kobieta stanie się równie pożyteczną i niezbędną, jak mężczyzna, prawa spadną jak jabłka dojrzałe, bo użyteczność jest najwyższą zasadą, rządzącą światem, i najdzielniejszym taranem, który rozbija wszelkie zapory.

Sprawie równouprawnienia kobiet poświęcił Prus również osobną powieść pt. «Emancypantki» i rozpatrzył w niej poruszone zagadnienie wszechstronnie. Z rozpatrzenia tego wynika, że przede wszystkim same kobiety nie wiedziały dobrze, co właściwie «emancypacja» oznacza. Nie trudno owszem stwierdzić zupełne zamieszanie pojęć.

Bogata (ale głupia) żona piwowara, pani Korkowiczowa, życzy sobie, ażeby jedna z jej córek uczyła się malować, a druga grać na cytrze (choć brak im do tego uzdolnienia), «bo panience potrzebne są talenta w czasach, kiedy wszyscy mówią, że kobieta powinna być samodzielną». A cóż to za samodzielnność, która objawia się w kiepskiej grze na cytrze?!

Inna z osób, występujących w powieści, pani doktorowa Brzeska, jest jednak rozsądną kobietą, a nazywa córkę swą Madzię (bohaterkę powieści) emancypantką dla tego, że Madzia nie chce wyjść za mąż za podstarzałego niedołęę, Ludwika Krukowskiego.

Siostra owego pana Ludwika, herod-baba, trzymająca 40-letniego brata w ryzach, jak małego chłopczyka, ma znów na sprawę emancypacji swój własny pogląd: «Samodzielnność!... — powiada do Madzi. — Cóż ty myślisz, że tylko ty jesteś kobietą samodzielną?... Trzeba

było widzieć, jak ugłaskałam mego świętej pamięci męża!... A co ja miałam z Ludwikiem!... Bóg jeden wie, a przecież i jemu dałam radę, bo kobieta musi kierować mężczyzną. Emancypacja!... Nowy to wyraz, ale rzecz dawna jak świat: kobieta powinna być panią domu, oto jest emancypacja».

Trochę inne jest zapatrywanie Madzi. Gdy ojciec pyta ją, dlaczego chce zakładać szkółkę, kiedy ma w domu utrzymanie, ona odpowiada rozżalona: «Więc to tak?... Więc tatko i mama pracują, a ja mam próżnować?... Więc to tak?... Więc ja nie jestem samodzielnym człowiekiem, nie mam żadnych obowiązków, nie mam prawa służyć społeczeństwu, nie mogę przyczynić się do ogólnej pomyślności, do postępu i szczęścia młodych pokoleń?...»

W słowach powyższych wypowiada już Madzia w znacznej mierze poglądy samego Prusa. Dodać należy tylko to jeszcze, co w innym miejscu mówi Prus o celu życia kobiety, mianowicie, że prawdziwie użyteczną, użyteczną w najwyższym stopniu staje się kobieta wtedy, gdy zostaje matką. Wówczas, jeżeli spełnia z poświęceniem a rozumnie swe obowiązki macierzyńskie, jest wyższą od mężczyzny.

Tymczasem, jak istnieją rozmaite wyobrażenia o tym, czym jest emancypacja, tak też postępowanie kobiet, które uważają się za wyzwolone, jest rozmaite.

Przypatrujemy się np. paniom zebranych w stowarzyszeniu kobiet. Znajdziemy tam dwie grupy działaczek. Panna Ulewska umie robić buciki i pięknie haftuje; z pracy żywi siebie i brata, który chodzi do gimnazjum. Panna Zielińska utrzymuje rodziców i dwu braci z lekcji. Panna Żetowska, z zawodu introligatorka,

gdy pracy nie ma, pielęgnuje ubogich chorych; za trud przyjmuje wówczas tylko żywność. Pani Bialecka opiekuje się kobietami wychodzącymi z więzienia, wyszukuje im służbę, przed wynalezieniem miejsca pozwala im u siebie mieszkać. Te wszystkie pracownice mało mówią, są ciche i skromne. Ale jest i druga grupa kobiet w stowarzyszeniu: panna Papużyńska, pani Kanarkiewiczowa, panna Howard... Te znów nic nie robią, ale strasznie wiele krzyczą, prawią o krzywdach dziejących się kobietom, chciałyby wszystkim przewodzić i ciągle się między sobą wzajemnie spierają. Są to emancypantki wrzaskliwe.

Emancypantką nazwano także przyjaciółkę Madzi Brzeskiej, Adę Solską. Cóż panna Ada czyni takiego, co jej zyskało to miano? Poświęca się badaniom naukowym, zajmuje się mchami i porostami, napisała rozprawę o rozmnażaniu się grzybów. Od towarzystwa, w szczególności od mężczyzn, stroni, ale nie dlatego, by czuła do ludzi niechęć: jej się zdaje, że jej nikt nie może pokochać, ponieważ jest bardzo brzydka. Naukę umiłowała istotnie, ale szczęścia w pracy naukowej przecież nie znalazła, jest jej «smutno, nawet straszno». I nie uspokoi się pierwej, dopóki ona — najszlachetniejsza z kobiet — nie zostanie narzeczoną niejakiego pana Kazimierza Norskiego. A ten Norski to bardzo piękny i elegancki — niktzemnik. I Ada wie o tym, a jednak chce zostać jego żoną, bo ludzi się że zyskała jego miłość, a pan Kazimierz taki piękny... Emancypantka Ada porzuci więc naukę, zapomni o mchach i porostach, a będzie płaciła długi mężowskie. Są i takie emancypantki...

Są i inne. Oto druga przyjaciółka Madzi, panna podśedkówna Eufemia. Madzia — jak wiemy już — chciała

złożyć w swoim miasteczku rodzinnym szkółkę. Odradzał jej tego ojciec (lękał się, że pracować będzie nad swe siły), odradzała i panna Eufemia, ostatnia z tego powodu, że według niej uczenie cudzych dzieci nie odpowiada godności panny z dobrego domu. Wszyscy zerwą z nią stosunki.

— Przecież — odrzekła na to Madzia z zapalem — dzisiaj jest to dążenie wszystkich kobiet, ażeby pracować... pracować jak najwięcej i nie oglądać się na pomoc rodziców, czy zarobki męża...

— Emancypantka z ciebie — zauważyła panna Eufemia. — Ja także chciałam być kobietą samodzielną (uczyła się haftu!), tylko... czy można nią być w takim małym miasteczku?...

— Przekonam cię, że można.

— Chciałam — ciągnęła panna Eufemia — dawać lekcje fortepianu córeczce naczelnika powiatu... Ale mama zrobiła mi scenę. Spróbuj tu być emancypantką, a zobaczysz...

— Będę — odparła Madzia stanowczo.

— Czy myślisz, że i ja nie jestem nią?... — mówiła panna Eufemia coraz ciszej, ale coraz goręcej. — Ja na przykład, kiedy kłania mi się ten... sekretarz z poczty... Cynadrowski, odpowiadam mu z lekka, czego mama nawet nie domyśla się...

Temu sekretarzowi pocztowemu nie tylko jednak odpowiadała panna Eufemia na ukłony, ale gdy oświadczył się (a nikt inny o rękę się nie zgłasza), poprzysięgła mu miłość. Kiedy wszelako pan Ludwik Krukowski, człowiek majątny, po otrzymaniu kosza od Madzi, zwrócił się z zapalami swymi ku Eufemii, panna podśedkówna dała sobie z łatwością wytłumaczyć matce,

że Cynadrowski to była «przelotna słabostka» i że ona, Eufemia, ma obowiązek «wlać otuchę» panu Krukowskiemu. A gdy nieszczęsny Cynadrowski, zdradzony przez narzeczoną, się zastrzelił, panna Eufemia pocieszy się na poczekaniu tym, że «kobieta jest istotą myślącą i wolną; czyż musi ulegać każdemu, kto ją kocha? Jakiżby to był okropny świat!...»

O tym, że przysięgła, nie myśli. Czy przysięga może obowiązywać kobietę samodzielną?

Także emancypantka!...

A wielki dzwon — wodząca rej w stowarzyszeniu kobiet panna Howard! to dopiero król (bo nie królowa... gdzieżby?), król, apostoł «emancypacji»! Mężczyźni — to potwory. Upokorzyć ich, zgnieść, zmiażdżyć. Píše artykuły, piętnujące kobiety, które myślą o zamążpójściu, zachęca panny do jazdy konnej, do uczenia się łaciny, a pielęgnowanie chorych np. uważa za zajęcie «dla bab, ale nie dla kobiety czującej swą godność». Kobieta, czująca swą godność, powinna bowiem nade wszystko okazywać pogardę mężczyznom. Och, ci mężczyźni! No tak, jest jeden, który się wśród nich korzystnie wyróżnia...

— Był u mnie wczoraj — mówi panna Howard do Madzi — pan Mydelko... wie pani... Bardzo przyjemny człowiek, w średnim wieku...

— On ma trochę nogi... — wtrąciła Madzia (nie chciała skończyć: pokrzywione).

— Tak — szepnęła panna Howard — ma nieco ekscentryczne nogi, ale — bardzo miły człowiek... Szczególny człowiek... Pięknym nie można go nazwać, ale — mo coś w oczach... Jest wdowcem... Kiedy do mnie przyjdzie, przesiaduje po kilka godzin... Myślę, że jeżeli nad

nami, kobietami, ciąży klątwa, ażebyśmy wychodziły za mąż, to powinnyśmy wychodzić tylko za takich...

— Zapewne — myśli sobie czytelnik — bo nikt inny nie miałby odwagi ani ochoty starać się o rękę panny Howard.

A po jakimś czasie jesteśmy świadkami takiej sceny:

Jesień... altanka... Z altanki dochodzi gruby głos:

— Tak mnie bolą nagniotki... Założyłbym się, że jutro będzie ślota.

— Więc włóż, aniołku, pantofle — odezwał się głos niewieści.

— Kiedy nie chce mi się szukać pantofli — odparł bas.

— Ja ci znajdę, duszko...

— Trzeba jeszcze ściągać buty!... — mruknął bas.

— Ależ ja ci zdejmę... Przecieżes ty mój... cały mój... moja pieszczotka... mój koteczek...

To pan Mydelko i pani z Howardów Mydelkowa w miesiąc po ślubie...

.
Na takim tle zarysowuje się ogromnie wyraziście postać bohaterki powieści, Madzi, młodego dziewczęcia, przejętego również hasłem współczesnym, ale pojmującego owe hasło — jak to już w części widzieliśmy — w swój sposób. Madzia dziwi się nawet zrazu, gdy ją nazywają wprost emancypantką. Czego bo ona chce? Dla siebie niczego, chce mieć tylko wolność pracowania, nie może znieść, by była ciężarem rodzicom; dla drugich? — ach, dla drugich wszystkiego. Chciałaby uszczęśliwić cały świat, wszystkich pocieszyć, wszystkim pomóc. Jej rzekoma emancypacja nie wypływa z chęci

bojowania, ale raczej z wewnętrznej potrzeby niesienia ulgi nieszczęśliwym. Toteż i wtedy, gdy opuszcza dom rodzicielski i idzie w świat na gorzki chleb, jako nauczycielka, i wtedy pragnie tylko ulżyć biednemu, zadłuzonemu ojcu.

A gdzie się zjawi, tam przynosi z sobą ciepło serdeczne, błogosławieństwo, bo ona jedną tylko ma żądzę, ale nienasyconą: służyć innym. I z tej płomiennej żądzы płynie jej siła. Tak, Madzia jest kobietą silną, «nie siłą granitu jednak — jak określa ją Prus ustami jednej z osób powieści — ale potężną, giętką siłą płomienia, który faluje, ogarnia z wszystkich stron i ukazuje się coraz to w innym miejscu».

W mistrzowski sposób kreśli Prus rozwój wewnętrzny tej prześlicznej duszy dziewczęcej. Cóż to za różnica między tym naiwnym trzpiotem, jakim jest Madzia na początku powieści, a tą Madzią, za którą zamyka się furta klasztorna. Dusza jej dojrzała przez zetknięcie się ze światem, z nikczemnością ludzką. Wszak rzucano na nią oszczerstwa, potwarze... Jest chwila, w której ona, uosobienie poświęcenia, poczyną wierzyć, że najbrudniejsze samolubstwo rządzi światem. Myli się, bo nie dostrzega wśród tłumu samolubów — siebie. I właśnie dlatego, że jest ona inną, lepszą niż otoczenie, że jest «geniuszem uczucia», a mali, nędzni ludzie doskonalszych od siebie nie lubią, właśnie dlatego, zgnębiona przez tych małych, kończy w klasztorze. Kończy przynajmniej chwilowo, bo czujemy, że ona tam nie wytrwa; ona zmożona tylko widokiem zła na ziemi, ale ona tam na stałe się nie zamknie, ona musi działać, szczęście nieść, ocierać łzy, mrok na światło przemieniać. Nie dla niej klasztor. To bohaterka.

A choćby za Madzią zawarła się krata klasztorna na zawsze nawet, ona, jak Wokulski w «Lalce», mogłaby o sobie powiedzieć: «nie cała umrę». Przykład, który dała, musi oddziaływać na drugih, jej zdolność do poświęceń musi wydać owoce. Ile zresztą ludzi, jeszcze przed wstąpieniem do klasztoru, wydarła nieszczęściu!

«Emancypantki» silniej jeszcze, niż «Lalka», podkreślają zasadę użyteczności jako zasadę w życiu najwyższą, naczelną. Ten godzien imienia człowieka — wola Prus coraz potężniej — kto jest użyteczny. Choćby szczęścia wyrzec się trzeba, choćby paść przyszło — spełnijmy swój obowiązek, pracujmy dla dobra ogólnego! Nie kobietę wojującą uczi ludzkość, lecz kobietę zdolną do poświęceń.

Ale znaczenie «Emancypantek» i na czym innym jeszcze polega. Powieść ta jest dowodem znamienego zwrotu w wyobrażeniach całego pokolenia. «Młodzi», jeśli nie wszyscy, to dość liczni, głosili, jak sobie przypominamy: «uznajemy to tylko, co się da sprawdzić przy pomocy zmysłów, doświadczenia i rachunku»; a dalej: «ponieważ istnienia duszy ludzkiej na tej drodze poznać ani dowiedzieć nie można, więc sprawą duszy, odrębnej od ciała, nie chcemy się nawet zajmować». Owoż Prus w ostatnim tomie «Emancypantek» poświęcił sporo miejsca dowodom, że istnieje dusza odrębna od ciała i nieśmiertelna.

Wykłada o tym bliskiemu śmierci, strawionemu suchotami bratu Madzi, profesor Dębicki.

«Wierz mi — mówi — że dusza ludzka jest pełną tajemnic, których bezpieczniej nie zaczepiać w tym życiu».

Dopókiśmy na tej ziemi, spełniamy wolę Bożą. Pozna ją każdy, kto tylko wsłucha się w «najgłębsze pragnienia, w najcichsze szeptu własnej duszy». «A jeżeli chodzi o hasło, to głoszą je wszystkie doskonalsze wyznania: przez ziemskie życie i pracę — do zaziemskiego, przez wieczne życie i pracę — do Boga. W tym jest cała mądrość świata i światów, jakie kiedykolwiek istniały i istnieć będą».

A na to wybierający się już w podróż wieczną, brat Madzi:

— Ach, jak inaczej byłbym sobie urządził życie, gdybym był wierzył w nieśmiertelność duszy... Dziś, gdy stanąłem nad grobem, żal mi...

Iluz to ludziom, mówi w ten sposób Prus, zwichnął szczęście dziwny obłęd, «nauka», która głosiła, że nikt nie zbada zagadek bytu, a równocześnie ośmielała się twierdzić, że jedną z tych zagadek i to jedną z najzawilszych już rozwiązała, bo oto wie, że z śmiercią człowieka kończy się wszystko. Na jakiejże podstawie można wypowiadać takie «prawdy»? Czy można dojść do nich «zmysłami, doświadczeniem, rachunkiem»? Zarozumiałość jest zazwyczaj tylko śmiesznością, kiedy jednak kradnie ludziom szczęście, staje się zbrodnią.

Znamienny zwrot, bardzo znamienny...

V

Spółeczeństwo i czująca jednostka. — Powieść «Faraon». — Warstwy społeczne w «Faraonie». — Co wyobraża nam starożytny Egipt. — Plany Ramzesa, — Jego upadek. — Myśl przewodnia «Faraona».

Od dłuższego czasu dążył Prus do tego, ażeby dać obraz społeczeństwa, jako też, ażeby podnieść znaczenie uczucia, mianowicie takiego uczucia, które rodzi użyteczne dla bliźnich czyny. Dzięki miłości ziemi u Ślimaka, ocaleje dolina Białki przed zalewem niemieckim, dzięki miłości ludzi u Wokulskiego i Madzi dziesiątki jednostek znajdują pole pracy i nie zmarnieją dla społeczeństwa. Natomiast chłodny rozsądek kierujący się samolubnymi pobudkami działania nie tylko nie wydaje błogosławionych owoców, ale przynosi szkodę. Szkodnikami są pan Karol w «Sierociej doli», ojciec Anielki, Schlangbaum w «Lalce», panna Eufemia w «Emancypantkach» — nieszczęście ludziom przynoszą.

W powieści, którą Prus napisał po «Emancypantkach», zapragnął s k o j a r z y ć oba dotychczasowe dążenia: zobrazować społeczeństwo ludzkie i wyśpiewać pieśń na cześć szlachetnej, wiedzionej uczuciem jednostki, pracującej dla społeczeństwa.

Powieść nosi tytuł «Faraon». Przenosi nas zatem Prus z pól nadwiślańskich nad święte brzegi Nilu i okazuje nam Egipt na wiele, wiele setek lat przed Chrystusem. Spoglądamy najpierw na dzierżawy faraonowe jakby z góry, a potem zaznajamiamy się kolejno z w s z y s t k i m i warstwami społeczeństwa egipskiego: poznajemy biednych, bitych, obdzieranych podatkami

chłopów, zamożnych właścicieli i dzierżawców folwarków, urzędników rozmaitych stopni, wojskowych od najniższych do najwyższych, kapłanów, posiadających w Egipcie ogromne znaczenie, dwór Faraona, jego samego, wreszcie żywiły obce: Fenicjan, Greków, Żydów. Widzimy, że społeczeństwo jest jakby wielkim zegarem. Wszystkie kółka muszą się w nim obracać, a gdy okryje je śnież (tą śnieżką jest samolubstwo kapłanów i chciwość lichwiarzy fenickich), odzywają się zgrzyty, grożące zastojem całej machinie. Ale widzimy też, czym w społeczeństwie są rozum i pieniądze. Kto rządzi Egiptem? Kapłani, bo oni jedni mają rozum i wiedzę, a zdobywają też władzę i Fenicjanie, bo ci mają — złoto. Czyż jednak rozum i pieniądze wystarczą, by zapewnić szczęście ludziom zamieszkującym państwo, na to daje odpowiedź — powieść.

Powiedziałby ktoś jednak: zapewne, bardzo zajmujące mogą być sprawy starożytnego Egiptu, ale co o n e n a s obchodzą? Czy nie mamy zagadnień nam bliższych? Chyba, że Prus, pisząc o Egipcie, myślał o Polsce, ale gdzież nasz Faraon, gdzie nasza armia, czy rządzą nami kapłani?

Nie, Egipt to n i e Polska. przypuszczenie takie byłoby błędne, a przeciwko księżom naszym nie tylko nigdy Prus nie występował, ale nakreślił kilka bardzo pięknych postaci kapłanów polskich. W powieści znajdujemy tedy nie obraz Polski współczesnej, lecz wyobrażenie w s z y s t k i c h p a ń s t w, jakie kiedykolwiek istniały, państw, w których były warstwy i klasy rządzone i rządzące. A czy tą warstwą przemożną będą (jak to się działo w Egipcie) kapłani, czy mieszczaństwo, czy czynownicy, to w zasadzie rzeczy nie zmienia.

Czynami tej warstwy przewodzącej rządzi samolubstwo; czasem wprawdzie odezwie się w jednostkach troska o całość Egiptu, o dobro państwa, ważniejszym jednak z zasady jest wzgląd na interesy kasty, niż na korzyść ogółu. Nagle wśród tej nasiąklej samolubstwem atmosfery zjawia się człowiek o gorącym sercu, który widzi, że źle się dzieje, widzi przyczyny złego i postanawia wprowadzić w stosunki państwowe zasadnicze reformy. Człowiekiem tym jest syn samego Faraona, następcę tronu, młody Ramzes. Gdy objął, po śmierci ojca, władzę, postanowił sobie jako cel dźwignąć z upadku państwo i ludność, przede wszystkim zaś część jej najbardziej — chłopów.

W sposób, zdolny głęboko nas wzruszyć, kreśli Prus dolę tych nędzarzy, niewolników...

Oto odbywają się wielkie ćwiczenia wojskowe — ciągną na nie pulki jego świątobliwości faraona Egiptu. Ale w drodze napotyka wojsko wykopany kanał, przeszkadzający dalszemu pochodowi. Minister wojny, arcykapłan Herhor, każe wówczas kanał zasypać. «Okolo setki żołnierzy greckich z oskardami i łopatami rzuciło się do roboty. Jedni odrąbywali kamienie ze skał, inni wrzucali je do rowu i przysypywali piaskiem.

Wtem, z głębi wąwozu wyszedł człowiek z motyką, mającej kształt bocianiej szyi z dzióbem. Był to chłop egipski stary, zupełnie nagi. Przez chwilę, z najwyższym zdumieniem patrzył na robotę żołnierzy, nagle skoczył między nich, wołając:

— Co wy dokazujecie, poganie, przecież to kanał!...

— A ty jak śmiesz zlorzeczyć wojownikom jego świątobliwości — zapytał go oficer.

— Widzę, że musisz być wielkim i Egipcjani-

nem — odparł chłop — więc odpowiem ci, że ten kanał należy do potężnego pana... Baczcie tedy, ażeby was nie-szczęście nie spotkało!...

— Róbcie swoje — rzekł oficer do żołnierzy greckich, którzy zaczęli przypatrywać się chłopu.

Nie rozumieli jego mowy, ale zastanowił ich jej ton.

— Oni wciąż zasypują!... — mówił chłop z rosnącym przerażeniem. — Biada wam, psubraty! — wołał, rzucając się na jednego z motyką.

Greki wyrwał motykę, uderzył chłopą w zęby, aż krew wystąpiła mu na usta. A potem znowu zabrał się do sypania piasku.

Oszolomiony ciosem chłop stracił odwagę i zaczął błagać:

— Panie — mówił — ależ ten kanał ja sam kopałem przez dziesięć lat, nocami i w święta. Nasz pan obiecał, że jeżeli uda mi się przeprowadzić wodę do tej dolinki, zrobi mnie na niej parobkiem, odstąpi piątą część zbiorów i da wolność... słyszycie?... Wolność mnie i trojgu dzieciom!... o bogowie!...

Wzniósł ręce i znów zwrócił się do oficera:

— Oni mnie nie rozumieją ci zamorscy brodacze, ale ty, panie, wysłuchasz mnie... Od dziesięciu lat, kiedy inni szli na jarmark, albo na tańce, albo na świętą procesję, ja wykradałem się w ten niegościnnie wąwóz. Nie chodziłem na grób matki mojej, tylko kopał; zapominałem o zmarłych, ażeby moim dzieciom i sobie choć na jeden dzień przed śmiercią dać wolność i ziemię... Wy bądźcie moimi świadkami, o bogowie, ile razy zaskoczyła mnie tutaj noc!... ile ja tu razy słyszałem płaczliwe głosy hijen i widziałem zielone oczy wilków!

Ale nie uciekał, bo dokądżeby niefortunny uciekł, gdy na każdej ścieżce czyhał strach, a w tym kanale wolność trzymała mnie za nogi?... Razu jednego, tam za tym załomem, wyszedł na mnie lew. Motyka wypadła mi z ręki. Więc ukląknę przed nim i rzekłem te słowa, jak mnie widzicie: «Panie! czyliż raczyłbyś mnie zjeść?... jestem przecież tylko niewolnikiem!» Lew drapieżca ulitował się nade mną; omijał mnie wilk, a ty Egipcjaninie...

Chłop umilkł, spostrzegł zbliżający się orszak ministra Herhora. Po wachlarzu poznał, że musi to być ktoś wielki, a po skórze pantery, że kapłan. Pobiegł więc ku niemu, ukląknął i uderzył głową o piasek.

— Czego chcesz, człowieku? — zapytał dostojnik.

— Światło słoneczne, wysłuchaj mnie! — zawołał chłop. — Oby nie było jęków w twojej komnacie i nie-szczęście oby nie szło za tobą!...

— Pytam, czego chcesz? — powtórzył minister.

— Dobry panie — powiedział chłop — który jesteś ojcem biedaka, mężem wdowy, szatą nie mającego matki... Pozwól, abym miał sposobność rozgłaszać imię twoje.

— On chce, ażeby nie zasypywano tego rowu — odezwał się oficer.

Minister wzruszył ramionami i posunął się w stronę kanału, przez który rzucono kładkę. Wówczas zrozpaczony chłop pochwycił go za nogi... Ale oficer ścisnął chłopą za kark, a nie mogąc oderwać go od stóp ministra, wezwał żołnierzy. Po chwili, jego dostojność, oswobodzony, przeszedł na drugą stronę rowu, a żołnierze prawie w powietrzu odnieśli chłopą na koniec maszerującego oddziału. Dali mu kilkadziesiąt kulaków,

a zawsze zbrojni w trzciny podoficerowie odliczyli mu kilkadziesiąt kijów i nareszcie rzucili u wejścia do wozu.

Zbity, pokrwawiony, a nade wszystko przestraszony nędzarz chwilę posiedział na piasku, przetarł oczy i nagle zerwawszy się, począł uciekać w stronę gościńca, jęcząc:

— Pochłoń mnie, ziemio!... Przeklęty dzień, w którym ujrzałem światło... W płaszczu sprawiedliwości nie ma nawet skrawka dla niewolników!...

Gdy pułki egipskie wracały z ćwiczeń, Ramzes, jadący na czele, ujrzał w tymże samym miejscu, koło zakopanego kanału, złowrogie widowisko: na drzewie wisiał chłop «z głową wyciągniętą naprzód; miał usta szeroko otwarte, dłonie zwrócone do widzów, a w oczach zgrozę. Wyglądał, jak człowiek, który chce coś powiedzieć, ale mu głosu zabrakło».

— Cóż to znaczy? — zawołał Ramzes wzruszony.

Pobiegli do drzewa adiutanci i przekonali się, że wisielcem jest ów stary chłop, któremu wojsko zasypało kanał.

— Słusznie powiesił się! — krzyczał oficer. — Czybyście uwierzyli, że ten nędzny niewolnik ośmielił się schwycić za nogi jego dostojność ministra!...

— Nieszczęśliwy! — westchnął z współczuciem Ramzes.

Gdy wrócił do orszaku, kazał sobie opowiedzieć historię chłopca, a później przez długi czas jechał milczący.

Przed oczyma wciąż stał mu obraz samobójcy, a w sercu nurtowało uczucie, że temu pogardzonemu niewolnikowi stała się wielka krzywda. Od tej pory

w ulżeniu doli ludu roboczego zobaczył Ramzes cel swego życia.

Wszelako planom jego stają w poprzek wpływowi kapłani, w szczególności przemożny minister Herhor; wszak Ramzes głosi jawnie, że właściwą przyczyną nędzy ogółu jest wybudanie ze szkodą dla całości społeczeństwa jednej jego części. Tego zuchwałego młodzika trzeba zgnieść. I oto rozpoczyna się walka, zacięta, nieublagana. Kto zwycięży, osiągnie władzę. Dotychczas mieli ją kapłani — faraon był tylko cieniem władcy. Ramzes chce zabronić bicia chłopów, chce wprowadzić — jak dawniej było — co siódmy dzień jako dzień wypoczynku, pragnie zmniejszyć rujnujące lud podatki. Do tego potrzeba mu oczywiście pieniędzy. Skąd ich wziąć? Skądżeby, jeśli nie z przedziwnego pałacu, do którego co prawda wejść nie łatwo, a wyjść nie sposób, z labiryntu, w którym kapłani gromadzą od wieków olbrzymie skarby, leżące tam zupełnie bezużytecznie, podczas gdy skarb państwa jest zadłużony. Trzeba tylko wprzód zgnieść wpływy kasty, pozyskać ogół, a potem będzie można labirynt zdobyć.

Zamiary Ramzesa stają się głośnymi w całym państwie, po stronie faraona staje armia, rycerstwo, chłopci, lud poczyną się burzyć, wybuchają niepokoje — zapowiedź rewolucji. Ale młody władca ma niestety słabe strony, w szczególności zaś niedobrze czyni, lekceważąc wiedzę i mędrców. Oto jeden z uczonych zgłasza się do niego z wieścią o mającym nadejść niebawem zaćmieniu słońca, ale on nawet słuchać tego nie chce.

Jakże lekkomyślnie postąpił! Kapłani nie zlekceważyli tej wiadomości. Przyspieszają umyślnie wybuch rewolucji na dzień, w którym ma być zaćmienie, i gdy

lud przypuszcza do labiryntu szturm, przerażony nagłym zniknięciem słońca, cofa się w popłochu. W zabranii światła widzi bowiem karę Bożą za podniesienie ręki na tajemniczą, uważaną za świętą, budowlę. Ramzes pada, nic nie zdziaławszy. Nic? Ach, nie, tak nie jest. Poruszenia ogólnego nic już powstrzymać nie zdoła, szlachetne plany Faraona muszą się przyoblec w ciało. Bo oto, co czytamy w zakończeniu powieści:

«Od śmierci Ramzesa aż do dnia jego pogrzebu rządził państwem jako arcykapłan i namiestnik zmarłego króla — najdostojniejszy Herhor.

Kilkumiesięczna władza namiestnika była wielce pomyślną dla Egiptu. Herhor uspokoił bunt popółstwa i, jak było dawnymi czasy, *pozwolił co siódmy dzień wypoczywać ludziom pracującym*. Zaprowadził surową karność między kapłanami, otoczył opieką cudzoziemców.

W ciągu tych krótkich rządów *sprawiedliwość wypełniała się szybko*, ale bez okrucieństwa, *i lada kto nie śmiał bić egipskiego chłopca*, który mógł odwoływać się do sądu, jeżeli miał dosyć czasu i świadków.

Herhor zajął się też *splatą długów*, obciążających majątki faraona i państwa. W tym celu skłonił Fenicjan do zrzeczenia się pewnej części sum, należących im od skarbu, a na pokrycie reszty *podniósł z Labiryntu ogromną kwotę 30.000 talentów* (około 150 milionów złotych na nasze pieniądze).

Dzięki tym środkom w ciągu trzech miesięcy nastał w państwie spokój i dobrobyt, a ludzie mówili:

— Błogosławione niech będą rządy namiestnika Herhora! Zaprawdę bogowie przeznaczyli go na władcę,

aby uwolnił Egipt od klęsk, zadanych mu przez lekko ducha Ramzesa...

Kilkadziesiąt dni wystarczyło, aby naród zapomniał, że wszystkie dzieła Herhora były tylko spełnieniem zamiarów młodego i szlachetnego faraona».

Tak, tłumy zapomniały, ale czyż jednostce gotowej do poświęceń w imię miłości ogółu, o pamięć ludzką chodzi? Tłumy zapomniały, ale owoc usiłowań Ramzesa pozostał, społeczeństwo postąpiło o krok naprzód. «I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeśli poległym ciałem dał innym szczebel do sławy grodu» — woła Mickiewicz w «Odzie do młodości». Podobna jest myśl «Faraona». Tu, w tej powieści wypowiedział się Prus, jak nigdzie, odsłonił najskrytsze tajnie swego wnętrza duchowego. Poświęcenie, ofiara — oto jego hasło. Głosił je już dawniej, rozbrzmiewały tym hasłem «Emancypantki», ale «Faraon» uczy nas czegoś więcej, oto, że spełniając obowiązek wobec bliźnich, nie wyrzekamy się naprawdę szczęścia, bo *szczęściem jest właśnie poświęcenie się dla drugih*.

VI

Kiedy poświęcenie się może być grzechem. — Ostatnia rewolucja w Królestwie. — Powieść «Dzieci». — Obrazki dni rewolucyjnych. — Śmierć Jędrzejczaka. — Czy rozpacz?

Poświęcenie jest rzeczą świętą, ale tylko wtedy zasługuje na najwyższy szacunek, gdy cel jego jest szczytny i gdy czyn jednostki nie ściąga nieszczęścia na ogół. Niszczyć sił własnych i cudzych bez pożytku jakiegokolwiek nie wolno nam. To myśl jednej z ostatnich powieści Prusa pt. «Dzieci», przed-

stawiającej niedawną rewolucję w Królestwie Polskim. Wiadomo, że zawierucha z r. 1905 przybrała charakter walki klasowej, rządowi rosyjskiemu przeważnie nieszkodliwej, aż wreszcie przeszła w prosty bandytyzm.

Jednak z osób powieści, doktor Dębowski, tak określa tę rewolucję, porównyując ją z poprzednimi bojami o niepodległość: «W roku 1794, 1812 i 1831 o wolność walczyła armia i to z wrogiem zewnętrznym. Ale o żadnych sztyletnikach, brauningistach, o żadnych wywłaszczeniach nie słyszano. W roku 1863 już nie było armii, tylko partyzantka, i zaczęli pokazywać się sztyletnicy, których nie przyjmowaliśmy do oddziałów. A dziś co?... Armii nie ma, nawet partyzantów... Za to mamy sztyletników, brauningistów, napaści na kasy i domy, mordowanie się rozmaitych partyj... Czy to nie skandal?... Ci bojowcy, co to zabijają rozmaite figury rządowe na ulicach, a złapani giną jak bohaterowie, ci bojowcy to ludzie bardzo odważni. Ale czy byłby z takiego zucha dobry żołnierz?... Miałem paru w leczeniu... i na co chory?... na nerwy, na nerwy w najwyższym stopniu!... I to ma być materiał na żołnierza, który nie dośpi, nie doje, ciągle w marszu, a gdy przyjdzie bitwa, musi niekiedy parę godzin stać w takim piekle, że słabe nerwy nie wytrzymają, pękają?...»

Wynik to smutnych stosunków, w których żyło i żyje społeczeństwo w Królestwie, a i ogólna choroba czasu. Ale choroba ta grozi przede wszystkim nam, nam, którzyśmy w podnieceniu zapomnieli, że «wolność, jak wszystko na tym świecie, nie tyle zdobywa się walką, ile mądrością i pracą... My — mówi dalej doktor Dębowski — nie mamy interesu w ruchawce, tylko w pracy kulturalnej: w szkołach, fabrykach, folwarkach, war-

sztach, sejmikach, kościołach. A jeżeli ruchawka szkodzi naszym interesom, dlaczego ją podtrzymywać? Czy to nie złaśniewstwo i zbrodnia?»

Bo cóż pożytecznego — pyta Prus — robią rewolucjoniści, choć poświęcają często własne młode życie? Napadają kasy rządowe i obrabowują je, ale napadają także kasy gminne. Zabijają policjantów (czy to mądre?), równocześnie zaś odbierają broń również leśnym i, co gorsza, rabują ludzi prywatnych. Wieszają szpiegów, ale także niewinnych, pobudzają do strajków rolnych i fabrycznych, działając w ten sposób na korzyść Prus. Co najsmutniejsze jednak, nie brak i takich, którzy okradają się nawzajem. Oto powstał związek «rycerzy wolności». Zadaniem «rycerzy» było stworzenie regularnej armii polskiej, znającej dobrze sztukę wojowania. Na czele związku stał niejaki Kazimierz Świrski, młodzieniec pełen zapału, bardzo zdolny. Raz znalazł się Kazimierz w tajemniczej jaskini, w której zbierali się rozmaici rewolucjoniści. Zaczęło się ich schodzić coraz więcej, «przeciągali się, ziewali, zataczali i upadali na kupy zielonych gałązek, służących za posłanie. Rozmowy milkły, a natomiast rozlegały się sapania, chrapania, okrzyki przez sen. Niepodsycane ognisko dogasało, wreszcie zupełnie zgasło; ze sklepienia, w długich odstępach czasu, spadały krople wilgoci.

Świrski nie mógł zasnąć: był trochę głodny, ale nade wszystko burza uczuć kipiała mu w piersiach. Na próżno stulał powieki i usiłował nie myśleć...

Nagle w ciemnej, jak piwnica, jaskini, Świrski usłyszał szmer. Ktoś podniósł się, przekroczył leżących obok sąsiadów i zaczął cicho pęłzać w stronę Kazimierza... Przypelznął, jakiś czas leżał bez ruchu, po-

tem — z wolna wznosił rękę, położył ją ostrożnie na piersiach Świrskiego i — bardzo zręcznie, bardzo delikatnie zaczął... rewidować mu kieszenie... Świrski coraz wyraźniej, coraz bliżej czuł niemiły oddech i — nagle machnął pięścią przed siebie. Rewident, mocno uderzony w głowę, cofnął się... Słychać było leciutki szelest i niebawem wszystko umilkło.

Na drugi dzień Świrski przekonał się, że jednak — zginał mu woreczek z kilkoma rublami...

Oto, w co przemienili się «rycerze wolności», ci, których zamiarem było stworzyć armię polską. Utonęli w gromadzie bandytów...

Ich dalsze losy? Jednych wybija wojsko, innych więzi, by więźniów oddać katowi, a jeden z pojmanych staje się donosicielem i szpiegiem-podżegaczem. Naczelnik «wolnych rycerzy», wpadłszy z trwogi w chorobę nerwową, kończy samobójstwem. Jako triumfatorzy pozostają: najajkka rosyjska i pruski fabrykant, który korzystając z zabicia strajkami przemysłu w Królestwie, zacznie teraz zalewać kraj własnymi wyrobami.

Rozumiemy już teraz tytuł powieści «Dzieci». Dzieci to rewolucjoniści, którzy nie obliczyli się ani z siłami własnymi ani Rosjan, mających im niby to pomagać, którzy, Bóg wie dlaczego, niszczą wytwórczość krajową i bój zacięty toczą — z własnymi rodakami...

Czy z tego wynika, że Prus potępia walkę o wolność? Przenigdy. On nie chce tylko t a k i e j walki. Wykazując zresztą, że rewolucja była źle zorganizowana i na fałszywych oparta podstawach, nie staje bynajmniej w obronie «ładu» rosyjskiego, opieką rządu się nie zachwyca, a o «konstytucji» rosyjskiej wie, co myśleć. Czym ta «konstytucja», to najlepiej odczuwa na

własnej skórze biedny Żyd Regen. Oto, co opowiada on Świrskiemu:

«Moja mama, pan wie, handluje damską garderobą. Raz, po katolickim Nowym Roku, moja mama spacerowała sobie z drugą, bardzo porządną kupcową, koło sklepu, gdzie ja naprawiałem zegarki, i nawet roześmiała się do mnie, a ja do niej przez okno. Moja mama miała w rękach damskie okrycie i dwie parasolki. Wtem naprzeciw idzie pan policmajster. Nic nie mówi, tylko raptem wyrwa mojej mamie z rąk obie parasolki i okrycie, rzuca na ziemię i depcze nogami, a ja to wszystko widzę przez okno. Więc wybiegłem na chodnik i mówię:

— Przepraszam pana policmajstra, ale teraz jest konstytucja i nie można tak uchylać porządnym kupcowym...

— Tiebie szto — on mówi — ty padlec?...

A ja mówię:

— To jest moja mama i przy konstytucji nie wolno tak robić..

— Ach, ty sukin syn... — mówi.

Kazał mnie aresztować, zaprowadzić do swojej kancelarii i mówi:

— Ty jewrej kryczy: aj waj!... (Ty Żydzie krzycz: aj waj!)

Ja mówię:

— Przepraszam pana policmajstra, ale ja jestem ruski konstytucyjny obywatel, ja mam wolność...

Wtedy on kazał mnie przewrócić i ciągle woła:

— Ty jewrej kryczy: aj waj!...

Ja mówię:

— Nie będę.

Wtedy dwa stójkowe zaczęli mnie bić, że myślałem, co mi krzyż pęknie. No i żeby się takie paskudstwo raz skończyło, ja zawolałem: «aj waj...»

Oni mnie puścili, ale ja tego bicia nie mogę zapomnieć. I ja nieraz myślałem: wyjdę na ulicę, stanę na chodniku, a jak będzie szedł pan policmajster, to ja mu będę patrzył hardo w oczy i nie ustąpię z drogi. Ale kiedy ja zobaczyłem jego, to zaraz się we mnie wszystko trzęsło i usunąłem się pod ścianę. A jak on zapytał mnie:

— Szto jewrej twoja konstytucja?... — to ja zdjąłem czapkę i powiedziałem:

— Moje uszanowanie panu policmajstrowi...

Od tej pory to ja już nie mogę sypiać ani jeść, tylko ciągle myślę: dlaczego ja boję się pana policmajstra, a pan policmajster nie boi się mnie?... I ciągle sobie myślę, w dzień i w nocy, że ja muszę jemu zrobić taki strach... taki wielki strach!...»

I Regen robi policmajstrowi «strach» — rzuca na niego bombę. Policmajster poszarpany w kawałki, ale i sam Regen postrzelony umiera. Oto dni konstytucyjne...

Powieść «Dzieci» nie jest zbudowana spójnie — przeważają z niej luźne obrazy z doby rewolucyjnej, wplecione tylko w osnowę. Niektóre zdolne są nami wstrząsnąć do głębi.

Jeden z «rycerzy wolności», zacny, pocziwy, potępiający wszelkie napady, uczeń szkoły handlowej, Jędrzejczak, mieszka sobie z kolegą w ciasnej, brudnej i ciemnej izbie pod strychem. «Bieda wyglądała tu z każdego kąta, ale ponieważ kolega wyjechał na Boże Narodzenie, więc Jędrzejczak był zadowolony. Mógł chodzić po izbie, nie potracając się o nikogo i mógł z bla-

szanego samowara i nadtluczonego imbryka pić tyle herbaty, ile mu się podobało, nie myśląc, że dla współlokatora może zabraknąć wody albo esencji. Cukru mniej więcej zawsze brakowało».

Właśnie wypił Jędrzejczak trzecią szklanekę herbaty, gdy do izby wpadł jego znajomy, nazywany Pędzelkiem, młodzieniec dwudziestokilkuletni, członek partii socjalistycznej i jeden z jej przywódców. Był silnie podniecony.

— Wiesz — zaczął — że Pfeferman wymówił miejsce Walfiszowi?... Pójdźże ze mną do tego podleca, ażeby mu wypłacił choć trzymiesięczną pensję». (Pfeferman był bogatym handlarzem drzewa, Walfisz — jednym z jego urzędników).

Ponieważ Jędrzejczak zawsze był skory do usług, więc co rychlej ubrał wytarty płaszcz i «nie tylko poszedł, ale wnet zaczął odgrywać rolę główną. Sam zadzwonił do mieszkania Pfefermana, a gdy służąca przez uchylone drzwi zaczęła dopytywać, czego chcą i oświadczyła, że pan Pfeferman w sobotę nie załatwia interesów, Jędrzejczakowi przyszedł do głowy łobuzerski koncept: wsunął nogę w uchylone drzwi i siłą je otworzył...»

Krzyk... służąca przerażona umyka, zjawia się sam Pfeferman i pyta, o co przybyłym chodzi. Jędrzejczak wyluszcza sprawę, tłumaczy, że odprawionemu nagle Walfiszowi należy się trzymiesięczna pensja i «tak zaczął wymachiwać swoimi długimi rękami, że Pfeferman głosem podniesionym zawołał:

— Cóż to, rozbój?... bandyci?...

Na te słowa w drugim pokoju zrobił się hałas, zabrzęczały wybijane szyby i pani Pfefermanowa, wychyliwszy głowę z okna, poczęła krzyczeć na ulicę:

— Rozbój!... bandyci!...

Doświadczony Pędzelek, zrozumiałwszy w lot, na co się zanosi, co rychlej opuścił izbę i już na dole zetknął się z patrolą, złożoną z trzech żołnierzy i stójkowego. Widząc, że idą na piętro, rzekł:

— Idźcie, panowie, prędko, bo tam jakiś wariat szaleje u Pfefermana... A ja lecę po doktora.

Nim się policjant namyślił, już Pędzelka nie było. Za minutę zjawił się na schodach Jędrzejczak, a za nim Żydówki, krzyczące «rozbój!... bandyci!...». Żołnierze zagrodzili wówczas drogę zbiegającemu bagnietami, stójkowy chwycił go przemocą i aresztował. Nadaremnie Pfeferman począł tłumaczyć, że schwytany nie jest bandytą, nadaremnie ofiarowywał stójkowemu rubla — odpowiedziano mu, że wyszły nowe bardzo ostre przepisy, więc aresztant musi udać się do kancelarii, a tam będzie się mógł usprawiedliwiać i wykazywać swą niewinność.

Więc Jędrzejczak pójść musiał. «Szedł z podniesioną głową, rękami w kieszeniach, uśmiechnięty. Nie robił sobie nic z awantury i nawet był kontent, że go patrol prowadzi, że przez kilka dni będą o nim w mieście mówili, słowem, że okryje się chwałą...» Towarzyszyła mu liczna, coraz się zwiększająca gawiedź ciekawych i tak doszli do biura policmajstra. Jędrzejczak znalazł się w poczekalni, zabloconej, plugawej, cuchnącej. Stał na środku izby z rękoma w kieszeniach, uśmiechnięty. Ale oto jego «wysoka a niezgrabna postać, rude włosy i wyraz twarzy zwróciły uwagę obecnych w poczekalni, a jeden z nich, niski brunet, z latającymi oczyma (tajny agent!) zaczął mu się pilnie przypatry-

wać. Oglądał go z boku, z przodu, z tyłu... Wreszcie wyszedł z poczekalni.

Może w pięć minut później niski brunet powrócił, ale za nim wbiegł szczupły i ruchliwy policmajster, jego olbrzymi pomocnik i paru strażników.

— Ten?... — zapytał policmajster, wskazując Jędrzejczaka.

— O ten — odparł niski brunet.

— Ten sam!... ten sam!... — dorzucił szyderczo Jędrzejczak.

Nie czekając, związano go i wepchnięto do drożki, do której wsiedli wraz z nim policmajster i dwu strażników. Odwieziono go do koszar. Jędrzejczaka «zdziwiło to, ale ani przestraszyło, ani zasmuciło». Owszem, był w bardzo dobrym humorze.

Tegoż samego dnia doktor Dębowski, odwiedzając jedną z chorych, żonę oficera żandarmerii, zapytał jej męża:

— Cóż to, mówią na mieście, że panowie posądzacie o zamordowanie strażników jakiegoś ucznia szkoły handlowej, Jędrzejczaka?...

— My nie posądzamy... my jesteśmy pewni, zresztą mamy świadków... — odparł oficer.

— Ależ bój się rotmistrz Boga, toż to młody chłopak...

— Ma dziewiętnaście lat, a jest zuchwałym zbrodniarzem. Nie tylko nie chce wydać współników, ale w grubiański sposób żartuje z tych, którzy go badają.

— Panie, to jakieś nieporozumienie... Może chłopak dostał bzika ze strachu?...

Oficer wzruszył ramionami i nie chciał dłużej rozmawiać.

Jędrzejczaka osadzono w koszarach w izbie z zakratowanymi oknami. Niedawnym zabójstwem strażników i ucieczką zabójców naczelnik wojenny rozdrażniony był w najwyższym stopniu — policja otrzymała rozkaz, by winnych za wszelką cenę schwycić. Dla przykładu postanowiono ukarać ich natychmiast i bezlitośnie. Gdy więc agent tajnej policji dopatrzył w Jędrzejczaku podobieństwa z jednym ze zbiegłych zabójców, wyszedł rozkaz naczelnika, ażeby uwięzionego przesłuchano natychmiast.

Toteż w tym samym dniu zjawili się w celi Jędrzejczaka trzej oficerowie (dwóch żandarmskich, jeden artylerii) i spisali z nim protokół. Kazano mu potem odwracać się, pochylać, biec, a równocześnie fotografowano go. Jędrzejczak wykonywał wszystkie ruchy z humorem, śmiejąc się. «A ile razy w uchylonych drzwiach spostrzegł jakąś figurę, pokazywał język. Figur takich zauważył Jędrzejczak cztery: trzech mężczyzn i jedną kobietę.

— Cóż to, szpiegi?... — zapytał starszego oficera.

Odpowiedzi nie otrzymał. (Byli to świadkowie zabójstwa strażników i ucieczki zabójcy. Jędrzejczak musiał istotnie przypominać nieco rysami mordercę).

W pół godziny zabrali żandarmi więźnia do izby, w której siedzieli znajomi mu oficerowie. Przed stołem stał żandarm z bronią w ręku.

Zaczął badanie — młody oficer pisał protokół.

— Po co pan chodził do Pfefermana? — zapytał starszy oficer żandarmerii.

— Ażeby mu powiedzieć, że jest świnia — odparł Jędrzejczak. — Przepraszam pana pułkownika, ale.. czy mogę usiąść?...

— Owszem. Pan był u Pfefermana w interesie **niejakiego** Herszka Walfisza?

— Może.

— A co pana obchodzi Herszko Walfisz?

— Nie lubię, jeżeli kogoś krzywdzą.

— A pan wie, że Herszko Walfisz jest **socjalny** demokrata i już zdążył ukryć się?

— Ha, dobrze zrobił.

— Z kim pan był u Pfefermana?

— Zdaje się, że z nikim.

— Owszem. Był z panem ktoś i to **wytrawny...** przestępca... Jak on się nazywa?

— Nie pamiętam.

— No, a te biżuterie pan zna? — pytał badający i dał znak żandarmom.

Żołnierze wzięli Jędrzejczaka pod ręce i zwrócili twarzą do stołu, przed którym stał trzeci żandarm. Ten usunął się i więzień zobaczył dwa żelazne cylindry.

— Zna pan to? — powtórzył badający.

— Nie mam przyjemności.

— To są bomby... Ale nie wie pan, skąd te zabawki wzięły się w stajni Hotelu Polskiego?

— Nawet nie domyślam się...

— Nu, a stajenny zeznał, że te przedmioty **pan** jemu dał do przechowania?

— Nie... stajenny nie łgałby tak...

Artylerzysta poruszył się na fotelu i przymknął oczy.

— Więc pan stajennego nie zna, ale jego **prawdomówność** pan zna?

— Ehe!... łapie mnie pan pułkownik za słówka?... To podła robota.

Oficerowie żandarmscy zerwali się, ale natychmiast usiedli, i starszy, ani na chwilę nie zmieniając spokojnego tonu, badał dalej:

— Pan jesteś oskarżony o udział w zabiciu strażników: Szmakowa i Fomeńki.

— Ja?... ja?... Cha!... cha!... cha!... — śmiał się już bardzo rozdrażniony Jędrzejczak. — Ja zabiłem strażników!... Ależ ja muchy nie zabiłbym... nie dopiero głupich strażników...

— Proszę, ażeby pan był grzeczny... nie mówił grubiaństw... — odezwał się artylerzysta...

— Pozwólcie mu... zostawcie go... — przerwał badający. — Bardzo to jest piękne, co pan mówi, że nie zabiłby muchy... A jednak są świadkowie, którzy pana widzieli w środę wieczór, po zabiciu strażników, uciekającego z ulicy Starej...

— W środę?... wieczór?... Ja nawet wtedy nie byłem na Starej ulicy... — odparł, śmiejąc się, Jędrzejczak.

— A gdzie pan był?..

— Nie pamiętam... — odpowiedział Jędrzejczak zmienionym nieco głosem. Przypomniawszy sobie, że właśnie o tej potrze był na zebraniu związku «rycerzy wolności», gdzie nawet mówiono o potrzebie zabójstw politycznych, czemu on gorąco się sprzeciwiał.

— Trzeba, ażeby pan sobie przypomniał — rzekł badający.

— Wątpię, czy mi się to uda.

— A ja bardzo pana proszę i bardzo panu radzę, ażeby pan sobie przypomniał — odezwał się artylerzysta. — Pan wie, że nad panem śmierć wisi?

Jędrzejczakowi krew uderzyła do głowy.

— A nad panem i nad wami wszystkimi nie wisi

śmierć?... — zawołał. — Czy zdaje się wam, że będziecie żyli wiecznie?... Mnie za co może śmierć grozić?... Jaki sąd wydałby taki wyrok na niewinnego?... Strachy na lachy, proszę pana!...

W tej chwili stojący przed nim żandarmi wzięli go pod ręce i odprowadzili do aresztu.

— Im się zdaje, że mnie przestrasza śmiercią... — mruczał zirytowany Jędrzejczak.

W celi uspokoił się jednak, odzyskał wesołość, zaczął nawet bić do drzwi i wołać, by mu dano jeść. Przy niesiono mu jedzenie, a podoficer żandarmerii, który mu pokrajał mięso, rzekł półgłosem:

— Ze sztabu kazali na jutro rano koszulę uszyć...

Jędrzejczakowi na chwilę zabrakło tchu i poczuł, że krew ucieka mu z twarzy do serca. Lecz wnet ocknął się, opanowała go złość, i odparł:

— Ci, co kazali szyć koszulę, niech pocałują psa w nos...

Zjadł mięso, wypił herbatę, zażądał pościeli.

— Ciekawym — szepnął — jak oni mnie tu będą długo trzymali?... No, zejdzie z tydzień, zanim oddadzą mnie pod sąd... Trzeba sprowadzić sobie trochę książek...

Okolo siódmej dwaj oficerowie żandarmscy i artylerzysta weszli do izby i odczytali Jędrzejczakowi protokół jego zeznań.

— Podpisze pan? — zapytał starszy oficer.

— I-i-i... nie... My, chłopie, nie podpisujemy.

— A ja jeszcze raz... i jeszcze raz proszę — odezwał się artylerzysta — ażeby pan powiedział: gdzie pan był w środę wieczorem, kiedy na Starej zabijano Szmakowa i Fomeńkę?...

— Nie pamiętam.

— Mam honor zwrócić uwagę, że to już ostatnia chwila — nalegał artylerzysta.

— Mówię panu, że nikogo nie zabiłem i nawet nie byłem w tym czasie na ulicy Starej...

Oficerowie wyszli.

— Aleksandrze Pawłowiczu — rzekł artylerzysta do oficera żandarmerii — a zawsze będę twierdził, że on nie zabił. On jest jakiś nienormalny człowiek, ale na zbrodniarza nie wygląda...

— A ja wam mówię, Leonie Konstantynowiczu, że to wytrawny zbrodniarz — odpowiedział zawsze spokojnym tonem oficer żandarmski. — Ja takich samych widywałem w Warszawie... Jeden miał siedemnaście lat i zastrzelił rewirowego. Kiedy pytaliśmy: co zrobiłby, gdyby go uwolniono, odpowiedział, że teraz zabijałby komisarzy i żandarmów... Wściekle psy, które trzeba tępić, ażeby nas nie gryzły...

Jędrzejczak tymczasem uśmiechał się w izbie. Ciągle straszą go śmiercią. Przecież «nigdzie na świecie nie posłaliby na śmierć niewinnego człowieka... Przecież nie było sądu, świadków, nikt go nie bronił...»

Zerwał się z pościeli i zaśpiewał fałszywie:

— Jak nie mamy żyć wesoło, gdy nie wiemy, gdzie nasz grób...

Potem legł i zapadł w marzenia półsenne. Z kimś się borykał, z kimś silniejszym od niego...

W nocy zbudził go łoskot otwieranych drzwi. «Przy słabym świetle lampki zobaczył żandarma, który wnet cofnął się, wpuścił człowieka w czarnym płaszczu i zamknął drzwi. Jędrzejczak przypatrzył się lepiej i poznał księdza, wikarego z katedry. Przybysz, blady, jak płótno, chwilę stał bez ruchu: nagle zrzucił płaszcz

i w białej komeżce prędko przybiegł do Jędrzejczaka. Objął go za szyję, ścisnął i, drżąc na całym ciele, szeptał:

— Bracie... bracie...

Jędrzejczak poczuł jakby lód w piersiach...

— Adwokaci wysłali depeszę do Petersburga... doktor Dębowski do Warszawy... — szeptał ksiądz. — Z rana powinna być spowiedź, a tymczasem jeden tutaj... pułkownik artylerii wyjednał zwłokę do dziewiątej...

— Czego zwłokę?... — zapytał zmienionym głosem Jędrzejczak.

— No... wyroku... którego, zdaje się, nie wykonają... — odparł zdziwiony ksiądz.

— Jakiego wyroku?... mnie przecież nikt nie sądził!... A jeżeli bez sądu zechcą mnie zakantopić, to... zobaczą, jak nasz umiera... Już nawet nie wiem, od ilu godzin straszą mnie śmiercią — mówił Jędrzejczak coraz głośniejszym głosem. — Ale przekonają się, że ja nie boję się śmierci... nie boję... nie!... — dokończył krzykiem.

— Masz słuszość, mój bracie... — wtrącił ksiądz trochę spokojniej. — Dobry Polak, katolik, nie powinien się bać śmierci... Mam zresztą w Bogu nadzieję, że ten nieludzki wyrok nie będzie wykonany, że oddadzą cię pod sąd, który uwzględni twoją młodość... W każdym razie złagodziłbyś sobie godziny oczekiwania, uprosiwszy Boga o odpuszczenie ciężkiego grzechu...

Jędrzejczak skoczył z tapczana, zaciskając pięści.

— Czy i ksiądz myśli — zawołał — że ja należałem do zabicia tych durniów?... Jak rodziców... jak Polskę kocham, nawet nie wiedziałem o tym...

— Jak to?... — spytał ksiądz, patrząc na niego przerażony.

— No tak to... Nikogo nie zabiłem... nie nie wiem...
A teraz niech mię wieszają...

Ksiądz zachwiał się i schwycił rękoma za głowę.

— Męko Chrystusowa!... — krzyknął. — Zabijają niewinnego...

Począł kolatać do drzwi, a gdy je otworzono, wybiegł bez płaszcza i czapki.

— A to księżyna wyskakuje... ha!... ha!... ha!... — śmiał się Jędrzejczak. Nagle schwycił się za piersi i, zataczając się, pobiegł w stronę kubła. Porwały go silne wymioty.

Szyldwach, stojący za oknem, krzyknął, do izby wpadło paru żołnierzy, później ukazał się felczer i wódką i gorącą herbatą.

— Bądźcie spokojni!... bądźcie spokojni!... — szeptał. — Oni tylko tak straszą was... Choć was ubiorą w koszulę, choć postawią pod słupem, nie bójcie się... Z tego nic nie będzie...

Jędrzejczak był tak osłabiony, że ledwie dowlókl się do tapczana. Upadł na siennik i zasnął twardo.

Tymczasem ksiądz, mimo późnej nocy, obiegł całe miasto. Był u biskupa, od którego dostał list, później poszedł do gubernatora, do naczelnika wojennego, lecz nigdzie go nie przyjęto.

Nad ranem dowiedział się, że ani depeszy do Petersburga ani do Warszawy urząd telegraficzny nie wysłał.

Przed szóstą wrócił do koszar. Jędrzejczak jeszcze spał. Nagle ocknął się, siadł na tapczanie i ujrzał przed sobą bladą twarz księdza. «W jednej chwili zbudziło mu się w pamięci całe jego życie: chata, w której się urodził, rodzice i rodzeństwo, dwór, gdzie nauczono go czy-

tać i pisać, majster w mieście, dokąd oddano go na naukę stolarki, uczniowie, którzy przygotowali go do klasy wstępnej... Potem lata w szkole handlowej...

Cały ten obraz, dokładny w najdrobniejszych szczegółach, trwał zaledwie kilka sekund.

— Bracie — rzekł ksiądz — zmówmy pacierz...

Ksiądz ukląkł, Jędrzejczak... ukląkł także i powtórzył «Ojcze nasz...»

— Pojednaj się, bracie, z Bogiem, to ci doda męstwa...

Ksiądz usiadł na tapczanie, zaslonił twarz stulą, a Jędrzejczak ukląkł przy nim i wyspowiadał się. Kiedy bił się w piersi, mówiąc: «Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu...», w tej samej chwili pomyślał: «Po co ja to wszystko robię?...» Instynktownie jednak czuł, że na spieranie się z tym dobrym księdzem nie warto tracić sił.

Po spowiedzi umył się, natarł piersi.

— Znowu mi rażno!... — rzekł, śmiejąc się, do księdza. — A już myślałem, że skapcanię.

— Spowiedź orzeźwiła cię, bracie... — odparł ksiądz.

Jędrzejczak zażądał herbaty, którą mu wnet podano. Ledwie zaczął pić, w korytarzu rozległ się głos kroków wielu ludzi i stukanie o podłogę ciężkich przedmiotów.

— Co to?... — spytał więzień.

Twarz jego zrobiła się szara, i usiadł ciężko na tapczanie. W tej chwili ogarnęła go tak bezdenna trwoga, że zdawało mu się, iż straci rozum. Ale dostał czkawki, i to go otrzeźwiło.

Dzwi otworzyły się szeroko i z hałasem. Na progu stanął oficer i krzyknął na cały głos:

— Marcin Jędrzejczak, zbieraj się!...

Ksiądz zaczął drżeć, ale Jędrzejczak odzyskał panowanie nad sobą. Wolałby umrzeć, aniżeli okazać oficerowi, że się lęka. Zresztą nie mu naprawdę nie grozi i nie był pod sądem... straszą go...

— Niech straszą!... — pomyślał.

Prędko włożył wytarty paltocik, czapkę na bakier, nie przyjął ręki księdza, który chciał go podeprzeć i z zuchwałą miną wyszedł na korytarz między dwa szeregi żołnierzy. Męczyła go czkawka, ale uśmiechał się, patrząc na martwe twarze, które go otaczały.

Gdy znalazł się na dziedzińcu, podjechała kibitka, ktoś go podsadził, obok usiadł ksiądz, któremu co chwilę łzy wymykały się z spod powiek, odezwały się bębny i orszak ruszył. Przed kibitką szedł oddział piechoty, kibitkę otaczali żandarmi z obnażonymi szablami, za nimi jechał oddział kozaków. Bębny warczały, nie milknąc ani na chwilę.

— Ojciec litościwy... — mówił ksiądz zmienionym głosem — oto stoję przed Tobą z sercem skruszonym... Polecam ci moją ostatnią godzinę i to, co po niej nastąpi... Miłosierny Jezu, zmiłuj się nade mną...

— Miłosierny Jezu, zmiłuj się nade mną... — powtórzył machinalnie Jędrzejczak.

Siedząc na trzęsącej kibitce, skazaniec widział każdy dom, każde okno, każdą latarnię, każdego człowieka... O, idą i patrzą na niego dwaj koledzy szkolni...

— Gdy nędzne serce moje — mówił ksiądz łkającym głosem — trwogą śmierci znużone upadać zaczyna..., miłosierny Jezu, zmiłuj się nade mną...

— Zmiłuj się nade mną... — powtórzył Jędrzejczak tylko dlatego, ażeby nie robić przykrości księdzu.

Jeszcze nigdy w życiu... nigdy... nie czuł się tak dziwnie podnieconym... Wciąż widział każdy najdrobniejszy szczegół drogi, każdego przełkniętego Żyda, każdego kolegę, każdą przerażoną albo zapłakaną kobietę... Nigdy nie czuł się tak dobrym, tak wyrozumiałym i skłonny do przebaczenia, jak w tej chwili. I czy podobna, ażeby właśnie teraz ludzie chcieli zrobić mu coś złego?...

Kibitka wjechała w kwadrat, którego najdalszym bokiem był stary mur. Naprzeciw muru stał szereg żołnierzy, dwa zaś inne boki tworzyli widzowie. Jędrzejczak spostrzegł między nimi Pędzelka, który dał mu jakiś znak... Było jeszcze kilku kolegów ze szkoły handlowej, jakieś kobiety...

Jędrzejczak jedną ręką oparł się o szyję konia żandarmskiego i lekko zeskoczył na ziemię. Potem, nie czekając na księdza, śmiałym krokiem podszedł do grupy oficerów. Teraz spostrzegł, że pod murem stoi słup, przed którym, na tle śniegu, widać świeżo wykopany dół i kupkę ciemnożółtej gliny.

Warzące bębny nagle ucichły. Jeden z oficerów, człowiek siwy i zgarbiony, rozwinął papier i bardzo niewyraźnie, głosem belkocącym coś przeczytał.

Jędrzejczakowi krwią nabiegły oczy. Jak nieprzytomny, zaczął wygrażać pięściami i krzyknął:

— Teraz ja panu coś przeczytam... Niech żyje wolność!...

— O Matko, cudami słynąca!... — odezwał się z daleka jęśliwy głos kobiety.

Bębny znowu zawarczały, dwaj żandarmi schwycili Jędrzejczaka za ręce i poczęli wciągać na niego przestronną, białą, z bardzo długimi rękawami, koszulę. Nie

bronil się, owszem, pomagał, ażeby czym prędzej usunąć płótno z przed oczu. Kiedy wydobył głowę ze zwojów koszuli, uśmiechnął się, lecz w tej chwili spadł mu na oczy płócienny kaptuz, i żandarmi pociągnęli go w stronę słupa. Szedł, potykając się. Potem uczuł, że go długimi rękawami koszuli przywiązują...

— Niech żyje wolność!... — zawołał ochrypniętym głosem.

W tej chwili doleciał odgłos dzwonów kościelnych...

Zatrzeszczały karabiny, ale żadna kula nie trafiła Jędrzejczaka.

— Niech żyje rewolucja!...

Nowa salwa. Jędrzejczakowi opadła głowa na piersi, i ugięły się kolana. Nie słyszał wystrzałów, nie go nie bolało, lecz w ustach poczuł ciepło i słony smak, a na białej koszuli ukazała się czerwona plama. Uderzyła go tylko jedna kula, rozdarła płuca i złamała kręgosłup. Kiedy przybiegł lekarz i podoficer z rewolwerem w rękę, Jędrzejczak już nie żył. Ciało szybko odwiązano od słupa i zepchnięto do grobu.

... ..
Po egzekucji oficer żandarmski, który badał Jędrzejczaka, i pułkownik artylerii wracali konno do miasta.

Nagle tęgim klusem od strony miasta nadjechał adjutant.

— Późno?... — spytał, zrównawszy się z oficerami.

— Albo co?...

— Zabójcy strażników złapani...

Przytoczyliśmy umyślnie scenę śmierci Jędrzejczaka w obszerniejszym streszczeniu i wyjątkach — z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że Prus sam wysunął tę scenę w powieści na plan pierwszy, traktując ją nie tak urywkowo i szkicowo, jak inne sceny i obrazy; następnie z tej przyczyny, że w nakreśleniu śmierci Jędrzejczaka wystąpiło w całej pełni mistrzostwo autora: wzrusza Prus do głębi, wstrząsa, posługując się najprostszyimi środkami; nie używa wielkich słów, kryje nawet własne uczucia, a każe tylko patrzeć. Ale to, na co każe patrzeć, kreśli z tak straszliwą prawdą, a dzięki tej prawdzie właśnie takie to jest przerażające, że czytelnika przechodzi mrowie. W tej scenie wreszcie Prus raz jeden w życiu tak silnie, tak nieubłaganie napiętnował postępowanie w Królestwie władz rosyjskich, dla których nieczym jest śmierć niewinnego człowieka, byle tylko czynownictwo nie zachwiało się w swych podstawach. Doprawdy przychodzą na myśl słowa Mickiewicza z wiersza «Do matki Polki»:

«...Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania:
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa bez zmartwychpowstania.

... ..
Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbłądnął obuchem,
Ani się splonił na widok powroza;

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze,
Utkwić zwycięski krzyż w Jeruzalemie,
Albo jak światła nowego żołnierze
Na wolność orać, krwią polewać ziemię.

Wyzwanie przysze mu — szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy — sąd krzywoprzysięzny,
A placem boju będzie — dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda — wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie nocne rodaków rozmowy».

.
Smutne, bolesne jest wrażenie po przeczytaniu «Dzieci», jak smutne było położenie społeczeństwa polskiego pod zaborem rosyjskim w r. 1905, 1906, a i do dzisiaj. Punktów jasnych, na których oko mogłoby spo- cząć z zadowoleniem, nie ma prawie w tej powieści. Sły- szymy wprawdzie o powstawaniu ochron, szkół elemen- taryjnych, towarzystw gimnastycznych, kursów dla anal- fabetów, ale czytelnik wie, jak niewiele z tych instytucyj ostało się do dnia dzisiejszego. Pocięcha więc w tym tylko, że nawet w dobie zawieruchy byliśmy zdolni do organizowania się, tworzenia, do pracy oświatowej, kul- turalnej. Przyszły nowe «wiry» i zasypały żrącym pia- skiem to, co myśl i wola polska stworzyły. Ale wysiłki pokoleń nie mogą pójść na marne, «nie w przyrodzie nie ginie» — tego uczył nas zawsze Prus. Nie traćcie na- dziei, miejcie ufność we w ł a s n e s i ł y — to także było

jego przykazanie. A hasło to głosił nieraz jeszcze, już po napisaniu «Dzieci», w licznych artykułach, w «kroni- kach». Strzeżcie się anarchii, wiercie w owocność pracy twórczej, w zwycięstwo dobrej sprawy!

Jaką myśl chciał wypowiedzieć Prus w ostatniej swej powieści «Przemiany» — nie wiemy niestety. Pracę bowiem nad tą powieścią przerwała — śmierć.

VII

Pogrzeb Prusa. — Jak Prus kreślił obrazy społeczeństw? — Znaczenie cierpienia. — Hasło wszechmiłości. — Na czym polega wielkość Prusa?

Umarł Prus w stolicy Polski, w Warszawie, tam, gdzie spędził całe niemal swe życie, d. 19 maja 1912 r. Prawie do dnia skonu pracował wytrwale, jeszcze na kilka dni przed śmiercią posłał do redakcji «Tygodnika Ilustrowanego» swe rękopisy. Zbliżający się kres życia czuł jednak i oczekiwał go ze spokojem. Wierzył, że «nie cały umrze».

Pogrzeb odbył się dnia 25 maja ¹⁾.

Już o godzinie 3 po południu przerwana została komunikacja na całej drodze, którą przeciągać miał kondukt.

Na olbrzymiej przestrzeni uformowały się szkoły, cechy, robotnicy fabryczni, grupy przedstawicieli insty- tucyj społecznych i naukowych.

Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, niezliczone tłumy.

¹⁾ Poniższy opis pogrzebu podajemy według pism co- dziennych.

Setki tysięcy ludzi zalegały wszystkie zakątki ulic i placów, którymi miał przejść pochód żałobny.

O godzinie 4 kościół był już pelen. Puszczano tylko przedstawicieli delegacyj. Zaczęto wynosić wieńce, a była ich mnogość taka, że zapelnily sześć wozów.

Wkrótce z zakrystii wysunął się długi szereg duchowieństwa, pod przewodnictwem ks. prałata Godlewskiego, który prowadził kondukt na Powązki.

Na ambonę wszedł ks. kanonik Szlagowski. Z ust natchnionego kaznodziei popłynęły słowa przepojone bolem, a choć mówił pięknie i podniosłe, choć chwilami głos mu się łamał i milknął, wszyscy rozumieli, że nie ma słów, mogących uwydatnić stratę, poniesioną przez naród. Rozumiał to i sam kaznodzieja.

Skończył.

Rozległy się żałobne, chóralne pienia chóru duchownych, dym kadzidła przesycił powietrze, przyciemnił płonące światła. Z chóru zabrzmiał rzewny śpiew «Duszy co rzuca», a w ślad za tym rozległy się wstrząsające dźwięki marsza żałobnego.

Trumna na wierzchołku katafalku drgnęła, zakolysała się i spoczęła na barkach członków zarządu Towarzystwa literatów i dziennikarzy i członków zarządu Kasy Literackiej. Ci ją donieśli do karawanu.

Ruszył wóz żałobny, a za nim ruszyły w skupieniu setki tysięcy ludu polskiego bez różnicy płci i wyznania.

Ktokolwiek miał sposobność ogarnąć wzrokiem tłum ten choć przez chwilę, widoku tego nie zapomni.

Zwolna posuwał się kondukt, którego początek od karawanu oddzielał 35 minutowy okres drogi. Chwilami

zabiegały drogę masy zwarte. Pochód stawał wówczas, aby po chwili posuwać się dalej.

Przodem postępowały szkoły, pensje, seminaria, ochronki..., za młodzieżą niezliczone delegacje towarzysztw.

Przy rogatkach, od ulicy Stawek, trumnę na ramionach ponieśli cykliści, wioślarze i młodzież wyższych zakładów naukowych.

Pochód wolnym krokiem podążył do bramy cmentarza Powązkowskiego. Wzdłuż muru cmentarnego czekały od szeregu godzin wielotysięczne tłumy, ponieważ dla uniknięcia natłoku wszystkie bramy cmentarza zamknięto już od godziny 3 po południu.

Po przybyciu do grobu, duchowieństwo odprawiło modły i pieśni religijne, orkiestra wykonała marsza żałobnego Chopina.

Koło grobu postawiono kirem okrytą mównicę. Mowy żałobne wygłosili przedstawiciele Akademii Umiejętności, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy polskich, Towarzystwa Higieny i i. Pożegnał też zmarłego jeden z towarzyszy pracy w b. Szkole Głównej.

Mrok już zapadał, gdy ostatni z mówców kończył swe słowa. Pogrzeb trwał około pięciu godzin.

Niepodobna wymienić wszystkich delegacyj, które wzięły udział w oddaniu hołdu Bolesławowi Prusowi. Warszawskie instytucje, stowarzyszenia, oraz zakłady naukowe — reprezentowane były wszystkie, z prowincji przybyło delegacyj kilkadziesiąt, między innymi z Krakowa, Kijowa, Petersburga, Wilna, Pozna-

nia. Wienców złożono przeszło sto, kondolencyj nadesłano około tysiąca.

Po otwarciu testamentu okazało się, że cały majątek wraz z dochodami z wydawnictw zostawił Prus jako dożywocie swej żonie; po śmierci wdowy kapitały mają być obrócone w całości na stypendia wychowawcze dla dzieci chłopów polskich.

★

Dlaczego w pogrzebie Prusa wziął udział przez swych przedstawicieli cały naród? Dlaczego go tak czczono? Jakie są jego zasługi?

Był Prus znakomitym pisarzem, jednym z największych, jakich wydały nasze czasy. Miał bardzo bujną wyobraźnię, stworzył w powieściach swych setki postaci, wybornie nakreślonych, wrażliwych się silnie w pamięć. Wystarczy przypomnieć Ślimaka, Rzeckiego, Madzię... Postaci te żyją, znamy je, niemal moglibyśmy z nimi rozmawiać. I wiedzielibyśmy nawet, jak z każdą z tych osób mówić, tak przejrzelibyśmy zakres ich myśli i wartość uczuć. Oczywiście dzięki autorowi. Bo Prus umiał nadzwyczajnie wnikać w głębię dusz ludzkich, wyczuwać każde drgnienie serca człowieczego.

Nie miał Prus takiej zdolności malarskiej jak np. Sienkiewicz. Gdy czytamy «Ogniem i mieczem», wyobrażenia nasza nie potrzebuje się trudzić, by odtworzyć obraz czy to wieczerzy u Kurcewiczów, czy pojedynku Bohuna z Wołodyjowskim, czy bitwy pod Machnowką. Takich obrazów wyrazistych, malarskich, barwnych, Prus nam nie daje. On raczej jak ptak wznosi się na wyżyny i kreśli jakby plan tego, co stamtąd spostrzegł: doliny Białki, Paryża (w «Lalce»), Egiptu (w «Farao-

nie»). Bo jego dążeniem i potrzebą było objąć całość miejscowości, kraju i — stosunków.

Stąd też i obrazy społeczeństwa przedstawiają się u niego inaczej, niż u innych pisarzy. W Orzeszkowej «Nad Niemnem» są to istotnie o b r a z y: powrót barwnie strojnych szlachcianek z kościoła, żniwa na złotych zagonach pod skwarnym, szafirowym niebem, tany przybranych odświętnie weselników w zaścianku, mknące po srebrzystym Niemnie czołna w pogodną, gwiazdami mrugającą noc. Podobnież u Sienkiewicza w «Quo vadis» na przykład: uczta Nerona przy stołach zasłanych kwieciami, ponure więzienie mamertyńskie ledwo oświetlone kagankiem, męczenie chrześcijan pobieranych w skóry dzikich zwierząt, pożar Rzymu... Toż to wszystko moglibyśmy wprost, zaraz, malować, gdybyśmy tylko umieli, tak dobrze widzimy tło, występujące na tym tle postaci, ich kształty, wyraz ich twarzy, barwy ciała i szat. A równocześnie przez te obrazy poznajemy życie społeczeństwa. U Prusa inaczej. On nie tworzy grup, by je malować, on raczej całość społeczeństwa rozkłada na grupy, grupy na jednostki, a równocześnie pokazuje wzajemny związek między grupami i między jednostkami. Przypominamy sobie przecie, jak dokonał tej pracy w «Lalce», w «Faraonie». Bo jego mniej zajmują kształty, barwy, życie zewnętrzne, a więcej dusza jednostki i dusza zbiorowa i wpływ jednej na drugą.

Uczucie jest u Prusa bardzo silne, źródłem zaś tej uczuciowości jest miłość ku ludziom. Kochał Prus Polskę i kochał wszystkich bliźnich, każdemu cierpieniu radby był zaradzić. Ale nie tylko posiadał Prus dużą wrażliwość na ból, był on także myślicielem. Stąd też,

patrząc na dzieje człowiecze, dostrzegał w cierpieniu wartości, która równa ból z łaską. W jednym z jego opowiadań (pt. «Sen») biedny student zapada w gorączkę i w tym stanie gorączkowym ma jakoby widzenie. Chodzi po «tamtym» świecie i rozmyśla nad tym, «na co w życiu ludzkim są cierpienia?» Wtem spostrzegł ciemną kuźnię, a w tej kuźni olbrzyma, który dał miechem w ognisko. Z ogniska wyskakiwały iskierki — a były to dusze ludzkie.

Iskry chwytął drugi olbrzym i zamykał je w granitowych kulach. Te granitowe kule to były znów ludzkie ciała.

Trzeci olbrzym brał owe granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami wbijał do wnętrza kul straszny stalowy kolec. Ale że granit stawiał opór, olbrzym bił w kolec olbrzymim tysiąc funtowym młotem.

«Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami». Ale wnet z wnętrza jego wydobywała się cieniutka smuga światła; smuga ta rosła, rozprzestrzeniała się, albo gasła. Gdy gasła, olbrzym znów wbijał w kulę granitu straszny stalowy kolec i uderzał olbrzymim tysiąc funtowym młotem dopóty, dopóki znów z martwej bryły światła nie wydobył.

Zdumiony student zapytał olbrzymia, co robi i kim jest.

«*Pomagam rozwijać się duszom* — odpowiedziało widmo — a jestem *Cierpienie*».

Gdyby nie ciosy, które nam zadaje ból — mówi tedy Prus — dusze nasze pozostałyby na zawsze w uspiewaniu, nie byłoby z nas pożytku. Cierpienie u s z l a c h e t n i a n a s.

Głosi zresztą Prus to samo wprost, w «Emancy-

pantkach»: «Cierpienie i pragnienie są bodźcami, które popychają nas do d o s k o n a l e n i a się. Szczęśliwy, kto zamiast narzekać na cierpienia, uczy się od nich».

Bo też, według Prusa, ból, miłość, szczęście, całe życie ludzkie — to wszystko tylko objawy w y ż s z e g o życia, wiecznego. Świat nie jest dziełem przypadku, ludzkość nie jest mrowiskiem istot błędzących bez celu. Wszystko dąży do doskonałości, duch musi kiedyś zwyciężyć krępujące go zapory.

W jaki sposób zaś każda jednostka ludzka może przyczynić się do przyspieszenia zwycięstwa ducha? — oto przez wprowadzenie w czyn zasady w s z e c h m i ł o ś c i. Kochajmy wszystkich, bądźmy użytecznymi dla bliźnich, dla siebie najmniej żądając.

We wspomnianym obrazku pt. «Sen» ubogi student ogląda na «tamtym» świecie nie tylko tajemniczego olbrzymia-cierpienie: widzi wiele jeszcze innych cudownych rzeczy. «Spostrzegł, że z jego serca wysnuwają się tysiące promieni jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, jeszcze inne zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki...

Były to wszystko przedmioty i ludzie, k t ó r y c h k o c h a ł. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. C z u ł r a d o ś ć jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta; drugiego, który wybierał się z wizytą; śledził bieg myśli trzeciego, który uczył się do egzaminu. S ł o d k i smutek płynął mu do duszy od drzew, pokrytych śniegiem, i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okiennicami.

Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilka naci czarnych, łączących go z nielubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatrzymywały mu szczęście, bo cieszył się, czy smucił człowiek nielubiany przez niego, czarna nica zawsze targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bolem.

— *Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... —* mówił zadumany student, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna...»

Cierpienie doskonali nas, miłość uszczęśliwia — oto, w co wierzył głęboko i czego uczył Prus.

I zrozumiemy teraz, na czym polega jego wielkość: był on poetą, myślicielem i apostołem miłości w jednej osobie. Dar żywej wyobraźni, zdolnej odtwarzać i przetwarzać rzeczy widziane, łączył się w nim z darem głębokiego wnikania w zagadki bytu. Ale ani wyobraźnia ani myśl nie pracowały dla zabawy: tworząc, chciał uczyć, bo ukochał tych, dla których tworzył. A z tej miłości ludzi płynął ów pogodny humor, który jak złota nica przewija się przez jego utwory i który podbił mu serca ogółu.

Wyszedł Prus, jak całe pokolenie, do którego należał od hasła «pracy organicznej», był jednym z najgorliwszych szerzycieli tych hasła. Ale kiedy część pokolenia, wołając: «zakładajmy warsztaty, budujmy fabryki», zatraciła z przed oczu wielki cel i nie dostrzegła nic poza ciasnym kołem spraw codziennych, on wznosił się coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie doszedł tych szczytów, na których rozbrzmiewa hasło «w szczęściu

wszystkiego są wszystkich cele... i ten szczęśliwy, co padł wśród zawodu...»

Tego hasła był Prus w ostatniej dobie głosicielem najzarliwszym i najwytrwalszym. Na pokolenie bohaterów chciał nas przetworzyć, z dusz naszych płomienne ogniska uczynić. Niechby się stopiła w tym żarze wszelka małość, pycha, samolubstwo — wszakże «świat ducha» ma wyjść z zamętu dzisiejszych dni.

Kto takie głosił prawdy, ten zasłuży nie tylko na podziw dla swych zdolności twórczych, ale i na miłość. I taka praca nie może pójść na marne; ziarna, które Prus rzucał tak hojnie, muszą rozplenić się i wydać owoce. Wszak nic w przyrodzie nie ginie.

«Nie cały umrę» — te słowa powinny być wyryte złotymi głoskami na płycie grobowej Bolesława Prusa.

DODATEK

BOLESŁAW PRUS¹⁾

I

Pokolenie, do którego należał Bolesław Prus, a był w nim jednym z największych, zrodziły trzy fakty: rok 1863, przewrót w stosunkach ekonomicznych ziem polskich pod zaborem rosyjskim po uwłaszczeniu i prąd, płynący z Zachodu, tzw. pozytywizm Comte'a. Na Polskę oddziałał ten prąd, zwłaszcza w Królestwie, silnie, rozciągłość jego czasowa była dość znaczna, trwała lat około trzydzieści, a echa prądu odzywają się do dziś, prawda, że coraz słabsze. Źródła jego wskazał sam Prus w jednej ze swych kronik: «Któż z nas nie pamięta owej epoki, podczas której pozytywizm był jedyną filozofią, Mill jedynym myślicielem a Darwin jedynym naturalistą? Owej epoki, podczas której młodzież dobijała się o zaszczyt pochodzenia od małp, a dziewice niedawno z krótkich spodniczek wylęgle,ypytywały o istotę i cel rachunku różniczkowego...» itd.

Pisał to Prus w r. 1875, wówczas więc już on patrzył na prawdę pozytywistyczną, jako na jedną z prawd

¹⁾ Artykuł napisany z powodu śmierci Prusa; drukowany w «Słowie Polskim» (Lwów) nr 237 i 239 z 1912 r.

ibsenowskich, tj. wschodzących po to, aby co rychlej zginąć. Ale atmosfera, wśród której wyrósł, pozostawiła na nim swe piętno — hasła doby: użyteczności, nie wyrzekł się nigdy. To hasło dało mu siłę i ono stworzyło zeń pedagoga. Nie cofał się przed pouczeniem, nierzadko przed moralizowaniem. Jak inni pozytywiści, zapominał o Millu, Comcie i Darwinie, a przemieniał się w społecznika, w pozytywistę «warszawskiego». Tym tylko się różnił od grupy, z której wyszedł, że zbyt wiele i zbyt gorąco kochał, aby popaść w stronnicze zaślepienie. «Wprawiajmy się — pisał — w oddawanie słuszości każdemu». Wprawiał się istotnie. Poruszał mnóstwo spraw w niezmiernie licznych artykułach, a dając upust wrodzonemu usposobieniu, najchętniej przybierał arcypoważne wywody w formę żartobliwą. Moralizował tedy, uśmiechając się, ale czasem śmiał się bez moralizowania — bawiły go kontrasty życia. Często sam ich szukał.

Moral i śmiech to początkowa twórczość Prusa. Weźmy obrazek «Pod szychtami». Aj! rzęścież to kobicisko nasza pani Maciejowa spod szychtów, aj siarczyste! choć bez żadnej pretensji odziane. Siedzi sobie... na belce i lata... ach! jak lata swój kraciasty, watowany kaftanik. Lata i klnie, klnie a wyśpiewuje...» Bo pani Maciejowa to typ, więcej nawet, to ideał szmaciarski. Czytelnik ubawiony zrazu śmieje się, ale wnet się przekonywa, że autorowi nie tyle o Maciejową chodzi, ile o tło, na którym jej postać się uwypukla, o plac «Pod szychtami». Budzą się poważne refleksje społeczne — odkrywa się właściwy cel szkicu: zwrócenie uwagi na śmietnik podmiejski, zdolny wytłumaczyć niezwykłą śmiertelność Warszawy. Ale obok tendencyjnych — ten-

dencyjnych w ukazywaniu braków opowiadań i obrazków — są i inne, w których autorowi chodzi n a p r a w d ę tylko o wywołanie śmiechu. W tych posługuje się z lubością karykaturą. Kreśli postaci kilku rysami, czasem jakimś jednym epitetem — czasem wkładając im w usta charakterystyczne zwroty; na głębszą psychologię się nie sili, a z wnętrza duchowego wprowadzanych postaci poznajemy to tylko, co poznałby obserwator nawet niezbyt bystry. O humorze w późniejszym znaczeniu tego słowa trudno wówczas mówić, raczej z komizmem się spotykamy i z dowcipem, przy czym dowcip polegać tu będzie najczęściej na niespodzianym zestawieniu dwu rzeczy, nie mających z sobą nic wspólnego.

Ale już w pierwszej dobie twórczości są zapowiedzi tego, co za lat kilka stanie się istotą Prusa — widać, że Prus, choć nie roztkliwia się na widok cierpienia, współczuje głęboko. Wśród pierwszych drobiazgów nie brak szkiców, w których prawdziwym bohaterem jest cierpienie i to cierpienie niezasłużone. Nie uszlachetnia ono, nie jest płodne w skutki dla drugich — przeciwnie trawi, zabija. Później zajmie Prus wobec z n a c z e n i a bólu inne stanowisko.

Śmiech i «społecznictwo» także w pierwszych kompozycjach powieściowych. I tu zrazu przeważa karykatura, niebawem jednak («Dusze w niewoli») nastrój poważniejszy, zjawiają się nowe środki artystyczne i wkracza nowy pierwiastek: humor. Narrator usuwa się na plan drugi, mamy natomiast obraz zdarzenia, skreślony na ten sposób, że patrząc i słuchając uśmiejemy się, ale równocześnie odczuwamy rozrzewnienie. Jako humorysta, godzien Prus stanąć obok Dickensa i Mickiewicza, a najwyżej może wzniosł się dzięki harmonii pływ-

nącej z jednolitego nastroju w «Anielce». Prześliczna to wprost postać, jedna z najpiękniejszych w literaturze polskiej — przyszła Madzia. Trzeba tylko, aby dorosła, aby nie zabił jej własny ojciec. Przypomnijmy sobie spowiedź przedśmiertną Anielki...

Jaką doktrynę literacką wyznaje Prus w tych pierwszych utworach powieściowych? Własną. Naturalistą nie jest. Nie jest w każdym razie takim naturalistą jak Zola, lub choćby Daudet nawet, bo jakkolwiek — jak teoretycy naturalizmu — «dokumentami» nie gardzi, jakkolwiek naczelną zasadą i dla niego jest obserwacja i odtwarzanie prawdy, nie myśli bynajmniej ujarzmić swej wyobraźni gwoili teorii, a w ludziach widzi nie zwitki mięsa i nerwów, lecz to, co nazywa szlachetniejszą ich częścią, a co później nazwie doskonałą się duszą, tworem nieśmiertelnym, obdarzonym bytem samodzielnym.

Rzecz charakterystyczna, że nawet problem piekący, jak kwestia socjalna, o ile Prus dotknął go, pokazany został w perspektywie artystycznej humoru, a rozwiązany w sposób uczuciowy («Powracająca fala»).

Podobne stanowisko emocjonalno-artystyczne zajął Prus również wobec innej sprawy: «Drang nach Osten». Kawał ziemi polskiej ocaleje dzięki p r z y w i ą z a n i u chłopu polskiego do gleby ojczystej. Ten chłop — to nie ideał jednak. Zasadą jego kult kastowości. Podejrzliwy jest ślimak, do działania szybkiego a planowego niezdolny, niedołężny nawet, ale umie kochać i wytrwać. Jest w nim «szlachetniejsza częśćka», odsłaniająca się w krytycznych momentach. Do pracy społecznej użyć go nie można, potrafi jednak oddać społeczeństwu

usługi. Jest materiałem, z którego duch narodu wykrzesze kiedyś iskry.

Bo dla Prusa dogmatem było zawsze społeczeństwo. Jego kroniki poruszały setki społecznych zagadnień, w «Drobiazgach», w «Sierocej doli», w «Anielce» tworzyły one podścielisko. Wszędzie jednak spotykaliśmy się dotychczas tylko z fragmentami tych zagadnień; były one najrozmaitsze, ale traktowane oddzielnie. O objęcie całości ich, o pokazanie na żywym organizmie pokusił się Prus dopiero w «Lalce». A z objęciem całości nie poszła w parze powierzchowność, przeciwnie, w szczegółach dokonało się pogłębienie. Widocznie przed syntezą był głęboki namysł nad składnikami, z których synteza ma powstać. Że Prus zdobył się na taką syntezę, to przy naturze jego talentu nie powinno było być niespodzianką. Od zarania twórczości dążył bowiem autor zawsze do obejmowania szczegółów jednym rzutem oka. Przypomnijmy sobie jego opisy: było w nich plastyki mniej, niż u Sienkiewicza, często brakło im walorów malarskich, perspektywy rysowniczej, ale była za to perspektywa z lotu ptaka (Ogród Saski, dolina Białki, później Paryż, krajobraz Egiptu). Słowem, Prus dążył, może bezwiednie, do spoglądania na zjawiska z góry, jako na całość nie artystyczną, lecz logiczną.

W «Lalce» też, mimo, że węzłem osnowy są losy Wokulskiego, mamy obraz ludzi, życia, prądów, dążeń całej tej części społeczeństwa, która tworzy serce Polski — Warszawę. Przed oczyma czytelnika przesuwają się najrozmaitsze grupy, całe warstwy społeczne. Widzimy arystokrację, reprezentowaną przez kilka figur, szlachtę wioskową (na sesji), szlachtę zbankruto-

waną, mieszczaństwo bogate i średnio zamożne, kupców na dorobku, subiektów, a dalej najbiedniejszych: wyrobników, proletariat, wreszcie męty wielkomięskie (zakrystiana, jegomościa z miną lajdaka). Poznajemy chrześcijan, poznajemy Żydów. Nie brak w tym obrazie ani jednej warstwy, z wyjątkiem urzędniczej, ale ta w Warszawie do społeczeństwa polskiego nie należy.

Chwila dziejowa, w której rozgrywają nie wypadki, przełomowa. Jest to okres, w którym nie przebrzmiały jeszcze echa romantyzmu nie literackiego, ale życiowego, a w którym rozlega się już hasło zerwania z mrzonkami i pracy organicznej, zjawia się zaś nowa doktryna: uspołecznienia środków produkcji. Jest to okres polszczenia się żywiołu niemieckiego, który wsiąkł w Królestwo i odpolszczania się tych Żydów, którzy już stawali się Polakami.

Wyobrazicielem dogasającego prądu: romantyzmu życiowego, politycznego jest Rzecki. W dalekiej perspektywie widzimy jego ojca, fanatyka-bonapartystę, a po ojcu odziedziczył ideę napoleońską syn. Rzecki patrzy na świat wzrokiem człowieka zahipnotyzowanego, rzeczywistości nie dostrzega, wierzy święcie w obcą pomoc, w rychłe nadejście dnia sprawiedliwości.

Postać natomiast niejednolita, złożona, romantyk i pozytywista w jednej osobie — to bohater powieści, Wokulski. Ma w sobie zdolności na wielkiego działacza społecznego, organizatora, ma dużo trzeźwości, tej, która przyszła po roku 63, ale i marzycielstwa, które odziedziczył w spadku po ustępującym pokoleniu, i którego się nie pozbył, kocha się jak Werter, jak Gustaw w «Dziadach». I o tę miłość, a raczej o przesady towarzyskie rozbija się. Sfera handlowo-kupiecka to znów ta warstwa,

która hasło pracy organicznej pojęła jako hasło o s o b i s t e g o wzbogacenia się i jest mu aż nadto wierną. Żadnych apiracyj tam nie spotykamy, żadnych myśli wybiegających poza magazyn sklepowy. Równocześnie zaś kielkuje ziarno socjalizmu.

To kryjący się, smutny subiekt Klein, propagujący swoją doktrynę półszeptem wśród kolegów sklepowych. Arystokracja drzemie. Nie drzemią Żydzi. Niechno tylko młody Schlangbaum poczuje silny grunt pod nogami, a wnet odsłoni wszystkie wady, które przedtem umiał ukrywać, i zacznie zdobywać. Nie on jeden. Genialna rasa, ale łajdaki — mówi o Żydach współwyznawca ich dr Schuman. W powieści występują oni przede wszystkim jako siła, którą społeczeństwo polskie rozpętało nierozumnym antysemityzmem, ale z którą mierzyć się nie może.

Ratuje się częściowo asymilacją żywiołu niemieckiego (Jan Mincel wyprowadza swój ród od Miętusów), cóż, kiedy Mincle-Miętusy wraz ze spolonizowaniem się zatracili energię i przedsiębiorczość, bo kiedy Wokulski sprzedaje sklep i ustępuje ze spółki, kupuje sklep, staje na czele spółki nie ten czy inny Mincel, ale Schlangbaum. Ostateczny wynik, to, co nazywamy epilogiem, byłby bardzo smutny, pesymistyczny, przygnębiający, lecz pod koniec pokazał autor — światelko: «non omnis moriar». Te słowa: «nie wszystek umrę» odnoszą się do Wokulskiego — symbolu. Choć runął, a wraz z sobą gmach cały przywalił, nie wszystek umrze. Co to znaczy — to wyjaśni nam później «Emancypantki» i «Faraon». Nic w wszechświecie nie ginie — z ziarn rzuconych m u s i zejść siew.

«Lalka» jednak jest nie tylko diagnozą chorób spo-

lecznych i rzutem oka w dal, jest także dziełem sztuki. Siła ekspresji dotychczas u Prusa nie widziana. Autor bierze czytelnika w swą moc, każe poddawać mu się kolejno rozmaitym wrażeniom i uczuciom. Zmienia się też nastrój, styl. Raz zdaje się nam, że słuchamy gawędy, to znów bliscy jesteśmy łez, to śmiejemy się pełną piersią. Humor uwydatnia się najsilniej przy kreśleniu przepięknej postaci Rzeckiego, pamiętnik starego subiekta jest arcydziełem. A jak niezwykle bogactwo obserwacji, jakie mnóstwo sylwetek — świetnych (ślady karykatury — w studentach). Sceny zbiorowe — nieporównane. Wszystko tam żyje, rusza się, nieledwie słyszemy gwar (scena w sądzie, licytacja!). Spotkał powieść zarzut, że jest źle zbudowana. Zarzut niesłuszny. Kompozycję musimy wówczas uważać za wadliwą, kiedy bądź to wskutek powikłania scen nie możemy się zorientować w całości, bądź też kiedy spotykamy wtřęty, nie pozostające z osnową ani z tłem powieści w logicznym czy ideowym związku, albo wreszcie kiedy osnowa załamuje się i powieść rozpada się na kilka utworów, sztucznie tylko z sobą związanych. Tu żadnego z tych wypadków nie ma. Liryczny pamiętnik Rzeckiego pozornie tylko rozrywa osnowę, w rzeczywistości jest on potrzebny, ma być i jest rzutem oka wstecz, obrazem chwili minioniej, przeciwstawieniem obecnej.

«Lalka» jest jednym z arcydzieł literatury polskiej i jedną z największych powieści, jakie wydało powieściopisarstwo europejskie. Jest też dokumentem epoki, zakłęciem chwili. Dzieło to i artyści i myśliciela.

Po «Lalce» «Emancypantki». Nie z hymnu wprawdzie do prostej powieści, ale ścieśnienie znaczne. Równocześnie pogłębienie. Tam obraz całego społeczeństwa

w stolicy, tu jednego zjawiska, jednego objawu, jednej kwestii społecznej; ale kiedy tam przy największym wysiłku nie dało się każdego z nasuwających się zagadnień wyczerpać i trzeba było dawać na wpół typy («przedstawicieli» warstw i prądów), tu zanalizowanie jednego objawu bardzo szczegółowe. Z organizmu wypruty jeden nerw, ale ten nerw pokazany pod mikroskopem.

Emancypacja kobiet była jednym z tych problemów, które młodzi pozytywiści (określenie z poprawką warszawską) wstawili jako jeden z punktów do swego programu. Było to tedy hasło rozpatrywane około r. 1870 niejednokrotnie, chociaż nie bezstronnie, czy raczej nie przedmiotowo, bo powiedziano sobie z góry, że emancypacja kobiet jest postulatem postępu. Prus także zabierał w sprawie tej głos niejednokrotnie, ale jak w roztrząsaniu innych rozmaitych dogmatów, uznanych przez pozytywistów za wyznanie wiary, w skrajność nie popadał, tak i w tej sprawie, więcej nawet, niż w innych, okazał dużo samodzielności. Był nawet bardzo chłodny, od fanatyzmu najzupełniej daleki. Wierny zasadzie użyteczności, uznawał emancypację jako hasło pozytywne o tyle, o ile staćby się ona mogła pożyteczną nie dla kobiet jednostek, lecz dla społeczeństwa. Z tego punktu widzenia oceniał bowiem każdą teorię i każdą praktykę. Na żądanie zaś całkowitego zrównania kobiet z mężczyznami uśmiechał się. O zupełnym zrównaniu nie ma mowy choćby z powodu różnic fizjologicznych. W jednej z kronik dowcipnie przedstawił, jak konkurs rozpisany przez kury na pracę o zrównaniu kur z kogutami nie powiódł się, bo żadna z autorek nie dotknęła kwestii «zasadniczej i głównej».

Przedewszystkim jednak sądził, że o ile chodzi o względne zrównanie z mężczyznami, powinny kobiety zacząć nie od wołania o prawa, lecz od pełnienia obowiązków. Wówczas prawa spadną, jak jabłko dojrzałe, bo użyteczność jest tym taranem, który rozbija wszelkie zapory.

Z rozpatrzenia prądu emancypacyjnego w powieści wynika nade wszystko to, że kobiety nie zdają sobie należycie sprawy z pojęcia «emancypacja». Zupełne zamieszanie pojęć, każda pod wyraz podkłada co innego. Pani Korkowiczowa uważa za emancypację malowanie pastelami i grę na cytrze, pani Brzeska nazywa Madzię emancypantką dlatego, że ta nie chce się sprzedać, siostra pana Krukowskiego ma swoją teorię (emancypantka jest ta, która umie sobie poradzić z mężem), panna Eufemia emancypacją zwie prenumerowanie «Przeglądu Tygodniowego» i niewysnuwanie konsekwencji z «przelotnych słabostek», panna Howard — pisanie artykułów o potrzebie opieki nad nieprawymi dziećmi i miażdżenie mężczyzn (dopóki nie spotka się z panem Mydelką). Autor pokazuje nam jednak kobiety prawdziwie samodzielne, idące przez całe życie własną pracą (pani Latter, panna Malinowska, pani Burakowska, ciche pracownice ze stowarzyszenia kobiet), ale te emancypacją teoretycznie się nie zajmują.

Na tym tle zarysowuje się ogromnie wyraziście postać Madzi, młodego dziewczęcia, przejętego również hasłem współczesnym, ale pojmującego to hasło w swój sposób. Niczego ona nie chce dla siebie, prócz możliwości pracowania, wszystkiego dla drugih. Chciałaby uszczęśliwić cały świat, wszystkich pocieszać, wszystkim dopomóc. A gdzie się zjawi, tam przyniesie z sobą cie-

pło serdeczne, błogosławieństwo. Z płomiennej żądzы służenia drugim płynie jej siła. Tak jest, Madzia jest kobietą silną, «nie siłą granitu jednak — jak określa ją Solski — ale potężną, giętką siłą płomienia, który fałuje, ogarnia z wszystkich stron i ukazuje się coraz to w innym miejscu». W mistrzowski sposób kreśli Prus rozwój wewnętrzny tej słodkiej duszy dziewczęcej. Naiwną nigdy Madzia być nie przestanie, ale cóż to za różnica między tym trzpiotem tańczącym z uczenicami, a tą Madzią, za którą zamyka się furta klasztorna. Dusza jej dojrzała przez, zetknięcie się z nieszczęściem i — z ludźmi podłymi. Jest chwila, w której ona, uosobienie poświęcenia, poczyną wierzyć, że najbrudniejszy egoizm rządzi światem. Myli się, bo nie dostrzega wśród tłumu samolubów siebie. I właśnie dlatego, że jest inną, lepszą, niż otoczenie, że jest geniuszem uczucia, kończy w klasztorze. Przynajmniej kończy chwilowo, czujemy bowiem, że ona tam nie wytrwa, na stałe się nie zamknie, ona musi działać, szczęście nieść, ocierać łzy, mrok na światło przemieniać. Nie dla niej klasztor.

Czy postać Madzi mówi nam coś bliższego o autorze? Bardzo wiele. Kto stworzył taką kreację, musiał sam mieścić w swym sercu skarby uczucia, sam gorzeć żądzą nieustannej pracy dla drugich. Możemy śmiało szukać autora w bohaterach jego powieści, tym śmieiej, że motyw przewodni «Emancypantek» powtarza się także w innych dziełach Prusa. *Non omnis moriar* może powiedzieć o sobie również Madzia.

«Emancypantki» silniej jeszcze, niż «Lalka», akcentują zasadę użyteczności jako zasadę kierowniczą i z tego w z g l ę d u są wskazówką, że u Prusa skryształizował się już system filozofii życiowej, tak, iż ukazanie się

«Najogólniejszych ideałów życiowych» nie powinno już było być niespodzianką. Ale znaczenie «Emancypantek» i na czym innym jeszcze polega. Powieść ta jest dowodem zwrotu w wyobrażeniach autora, a zarazem, o ile Prus jest wyobrazicielem swego pokolenia, zwrotu w wyobrażeniach znacznej części ogółu. Jest to zerwanie z ciasną doktryną rzekomo filozoficzną: istnieje tylko to, co się da sprawdzić zmysłami, doświadczeniem i rachunkiem. Wielką część tomu IV (tym razem ze szkodą dla kompozycji) poświęcił Prus wyłożeniu własnego systemu filozoficznego, którego ideał jest nieśmiertelność duszy ludzkiej.

— Wierz mi — mówi Dębicki do Brzeskiego — że dusza ludzka, mimo całej swojej prostoty, jest pełną strasznych tajemnic, których bezpieczniej nie zaczepiać w tym życiu. Bóg, na obecną fazę wiecznego rozwoju, dał nam ciało materialne, trójwymiarowe i pozwolił badać trójwymiarową naturę. Tego się trzymajmy i w tych granicach spełniajmy Jego wolę.

— A któż zna Jego wolę?... (pyta Brzeski).

— I pan ją poznasz, tylko wsłuchaj się w najgłębsze pragnienia, w najeichsze szepty własnej duszy. A jeżeli chodzi o hasło, to głoszą je wszystkie doskonalsze wyznania: przez ziemskie życie i pracę — do zaziemskiego, przez wieczne życie i pracę — do Boga. W tym jest cała mądrość świata i światów, jakie kiedykolwiek istniały i istnieć będą».

Zwrot bardzo znamienity...

«Emancypantki», mimo luźnej kompozycji, mimo śladów dawnej techniki, mimo pewnej barokowości w traktowaniu przedmiotu, zasługują na miano powieści znakomitej. Głównym jej wdziękiem i siłą — pod-

kreślny to raz jeszcze — jest gorące ukochanie przez autora dobra, pożytku bliźnich, idei poświęcenia. Przepiękna pieśń — przzerwana... Ale echo melodii ginie tylko dla kamieni. Skrzypce — choć pieśń rwie się — pochwytują melodię, a choć jęk ich jest cichy i jakby trwożny, kto umie nie tylko słuchać, ale i myśleć i czuć — ten pieśń dokończy.

Szczytem twórczości Prusa jest «Faraon», dzieło w wielkim stylu, utwór godzien stanąć obok «Lalki». Jest w nim silna koncentracja, konsekwentne potęgowanie akcentów. Od długiego czasu dążył Prus do tego, aby dać syntezę dążeń i prądów, krążących w społeczeństwie, aby uwydatnić znaczenie czynu altruistycznego, wreszcie, aby przeciwstawić rolę jednostki działającej czy pewnym grupom społecznym czy całemu społeczeństwu, idącemu w poprzek zamiarom tej jednostki. To pragnienie wcielał w rozmaite kompozycje, ale dopiero w «Faraonie» pozwolił ucieleśnić się wszystkim tym dążeniom i dał syntezę całej ideowej strony swej twórczości. Jeśli w «Lalce» mieliśmy obraz ułamku społeczeństwa, to tu kreśli Prus w misterny sposób obraz społeczeństwa całego. Przed oczyma naszymi rysują się wszystkie warstwy tego społeczeństwa, a obok jak najbardziej szczegółowego malowidła wewnętrznych stosunków społecznych w państwie uwypukla się obraz stosunków zewnętrznych, wzajemny wpływ jednych na drugie. Podkreślić należy, że powieść nie jest — jak podejrzrywano — alegorią, natomiast społeczeństwo egipskie wyrasta tu do znaczenia symbolu. W tym mieści się i odpowiedź dla tych, którzy dopatrywali się w «Faraonie» satyry na duchowieństwo. Przede wszystkim nie jest «Faraon» satyrą (nawet w Herhorze

jest wiele stron dodatnich, cóż mówić o Penteurze), następnie zaś o duchowieństwie zupełnie tu nie chodzi. Chodzi o warstwę uciskającą i uciskaną, a że kastą rządzącą byli w Egipcie kapłani i oni ciężyli nad resztą społeczeństwa, więc w powieści egipskiej rola ich nie mogła być inna. Ale w powieści nieegipskiej rolę tę objęłoby raz mieszczaństwo, innym razem czynownicy itd. Spór toczy się o władzę. W zapasach młody władca Egiptu Ramzes pada. Chciał ulżyć chłopom, wprowadzić, jak dawniej, co siódmy dzień, jako dzień wypoczynku, zmniejszyć nadmierne podatki. Powstaje ferment, w powietrzu czuć burzę, zanoszą się na rewolucję przeciw kaście, która w Ramzesie widzi niebezpiecznego przeciwnika. Ale młody Faraon lekceważy mędrców, a słaby jest wobec wdzięków kobiecych. Autor wskazuje konsekwentnie wszystkie słabostki Ramzesa, tworząc przez to postać wysoce tragiczną. Bo te słabostki go gubią; umięją z nich korzystać ci, w których rękach była władza dotychczas. Ramzes pada, ale owoc usiłowań jego pozostał — społeczeństwo postąpiło o krok naprzód.

«Od śmierci Ramzesa XIII aż do dnia jego pogrzebu rządził państwem, jako arcykapłan Amona tebańskiego a namiestnik zgasłego króla — najdostojniejszy San-amen-Herhor.

Kilkumiesięczna władza namiestnika była wielce pomyślną dla Egiptu. Herhor uspokoił bunt pośpółstwa i jak było dawnymi czasy, pozwolił co siódmy dzień wypoczywać ludziom pracującym.

W ciągu tych krótkich rządów sprawiedliwość wypełniała się szybko, ale bez okrucieństwa i lada kto nie śmiał bić egipskiego chłopca. Herhor zajął się spłatą długów, obciążających majątki

Faraona i państwa. W tym celu skłonił Fenicjan do zrzeczenia się pewnej części sum, należących się im od skarbu, a na pokrycie reszty podniósł z Labiryntu ogromną kwotę 30.000 talentów.

Dzięki tym środkom, w ciągu trzech miesięcy nastal w państwie spokój i dobrobyt, a ludzie mówili:

— Błogosławione niech będą rządy namiestnika San-amen-Herhora! Zaprawdę, bogowie przeznaczili go na władcę, aby uwolnił Egipt od klęsk, zadanych mu przez Ramzesa XIII, lekkoducha i łowcę kobiet...

Kilkadziesiąt dni wystarczyło, aby naród zapomniał, że wszystkie dzieła Herhora były tylko spełnieniem zamiarów młodego i szlachetnego Faraona.

Tak, tłumy zapomniały, ale czyż jednostce gotowej do poświęcenia w imię hasła altruizmu, o pamięć ludzką chodzi? Czy dlatego pracy zaprzestać? Odpowiedzieć na to pytanie każe Prus już czytelnikowi samemu, poddaje wszelako odpowiedź: Racją istnienia jednostki jest praca dla ogółu. Szczęście istnieje tylko w poświęceniu. Ludzkość dąży do wyższych celów, ale praca dla tych celów musi być okupiona. Okupienie to jednak naprawdę to nie trud, to radość najwyższa.

Po wysiłku, który stworzył trzy wielkie dzieła: «Lalkę», «Placówkę» i «Faraona», nadeszło wyczerpanie. Przez lat kilka, prócz kronik, krótkich obrazków, nielicznych zresztą, nie tworzy Prus nic. A gdy wśród tego otium weźmie jednak za pióro, poznamy, że to wczasy literackie.

Takie znamię noszą «Wspomnienia cyklisty». Podobnie nie osiągnął dawnych wyżyn w powieści z doby rewolucji rosyjskiej pt. «Dzieci». Nie zdołał być obserwatorem burzy, która nad nim przeleciała, bo zbyt —

jak wszystkimi — i nim także wstrząsnęła. Nie był zaś Prus wybuchowcem ani uczuciowcem w tym stopniu, aby bezpośrednio jako impresję wyrażać to, co przeżył. Dał tedy szereg obrazów, obrazów zaobserwowanych, ale obrazy te nie ułożyły się jeszcze w ideową i artystyczną całość. Dał szereg refleksyj wysnutych z czasów zamętu, ale były to refleksje, oparte nie tylko na rzeczach widzianych, lecz na całym komplecie zdarzeń, które w różnoraki sposób dochodziły do świadomości autora. Gdy więc przyszło do stworzenia kompozycji artystycznej, obrazy nie spłotyły się z refleksjami w zgodną spoiłą całość, przeciwnie, powstały jakby dwie części, na wzajem się przeplatające: sceny rewolucyjne i rezonowanie.

O powieści «Przemiany», jako nieukończonej, mówić nie można. Pracę przerwała śmierć.

Jakie miejsce wyznaczają Prusowi przyszli historycy literatury? Odpowiedź trudna, nawet niemożliwa, ale obecne pokolenie może sobie już zdać w części sprawę z rodzaju zdolności i znaczenia Prusa. Przede wszystkim podnieść trzeba, że sam rozwój talentu był oryginalny. Zrazu «fanatyk matematyki», myśli Prus — wiemy to — o ujęciu całego życia kosmicznego w formuły matematyczne. Lecz uczuciowość, choć ukrywana zrazu pilnie, była zbyt silna, ażeby Prus mógł pozostać w sferze abstrakcji. Uczuciowość ta popchnęła go w okresie hasła pracy organicznej w objęcia rozmaitych kwestyj społecznych, a równocześnie zabroniła namiętnej polemiki z obozem romantyków życiowych, bo on romantyków tych kochał. Ale wyobraźnia była znów zbyt żywa, ażeby zagadnienia społeczne mógł traktować w sposób ściśle naukowy. Tak np. kwestia emancypacji wy-

woliwała w umyśle jego sylwetki rozmaitych zaobserwowanych emancypantek, kwestia rozwoju handlu — sylwetki handlowców itd., a że wyobraźnia Prusa była nie tylko odtwórczą, ale i dopełniającą i twórczą, więc z tego materiału zaobserwowanego powstawały nowe światy. Na odwrót obserwacje budziły nowe zagadnienia, a co już u Prusa znamienne, w dobie najpełniejszego rozwoju nie dostrzeżemy zacieśnienia widnokregu, ale ciągle rozszerzanie się, a to rozszerzanie nie powoduje powierzchowności w traktowaniu najróżnorodniejszych objawów, lecz przeciwnie, w parze z nim idzie filozoficzne pogłębianie zjawisk. O Prusie śmiało powiedzieć można, że patrzy na świat «sub specie aeternitatis» — przez okienko nieskończoności. Świat, życie ludzkie, ból, miłość — to wszystko tylko objawy wyższego życia kosmicznego, z którego dostrzegamy jeno fragment, dostrzegamy naszym wzrokiem cielesnym, nie zdając sobie sprawy z tego, na co patrzymy, czym sami jesteśmy. Ale Prus wierzy głęboko, że świat ten nie jest dziełem przypadku, igraszką losu, lecz że dąży do doskonałości, że duch musi w nim zwyciężyć nad materią. W jaki zaś sposób możemy my współpracować w tym «wylawianiu ducha z natury?» Oto przez wprowadzenie zasady wszechmiłości.

Na skojarzeniu się trzech pierwiastków: zmysłu spekulacyjnego, starającego się przeniknąć zagadki bytu, głębokiej uczuciowości i wyobraźni żywej, bujnej, bardzo ruchliwej (choć nie w wysokim stopniu plastycznej) polega wielkość Prusa.

Główne, zasadnicze wzruszenia wywoływał Prus zrazu widokiem cierpień niezasłużonych a bezpłodnych, później w dobie dojrzałości talentu, obrazami cierpień

sroższych może, do zwycięstwa nie wiodących, ale przeznaczonych do wyższych celów. Głównym środkiem, którym osiągał wzruszenie, było powolne, ale pewne jak fatum zapadanie się działającej jednostki w grzęzawisko otaczających ją stosunków, gwałtowne chwytnie powietrza, wreszcie kurcz bolesny, przedśmiertny, bez osobistej wiary w przyjscie lepszego jutra. To odbicie tych wątpliwości, przez które autor musiał sam przechodzić. Słowa «non omnis moriar» zjawiają się wówczas dopiero, gdy trumnę przykryje wieko.

Było w nim samym wiele Wokulskiego, ale było więcej pogody i wiary, był złoty, świetlany, promienny humor. Nim łagodził zbyt ostre rysy, nim zajmował tych także czytelników, którzy na filozoficzną treść dzieł mniej byli czuli.

W dziełach jego odzwierciedlił się cały jeden okres rozwoju społeczeństwa, okres jeden z najcięższych, jakiegoś przeżyli. Może dlatego bohaterowie jego nie widzą skutku swych usiłowań... Nie obaczył ich i on. Ale na wieku jego trumny powinny być złotymi głoskami wyryte słowa: «non omnis moriar». Do niego one nade wszystko się odnoszą, do tego nauczyciela narodu, o duszy przeczystej, o sercu gołęmbim, apostoła zasady miłości i pocieszyciela.



T R E Ś Ć

	Str.
Słowo wstępne	3
I. Pokolenie po roku 1863. — Młodość Bolesława Prusa. — Czego Prus żądał od społeczeństwa? — Pierwsze obrazki. — Dlaczego śmiejemy się, czytając opo- wiadania Prusa? — Humor Prusa. — Współczucie z cierpiącymi	9
II. Parcie Niemców na wschód. — Środki zaradcze. — Powieść «Placówka». — Postać Ślimaka. — Stosu- nek Ślimaka do dworu, służby i żony. — Walka z osadnikami niemieckimi. — Zwycięstwo. — Obrazy przyrody w «Placówce». — Chłopi w innych opo- wieściach Prusa. — Walka z ciemnotą	39
III. «Lalka». — Osnowa powieści. — Warstwy społeczne przedstawione przez Prusa. — Przełom w społecz- stwie. — Wyobraziciel pokolenia ustępującego. — Kim jest bohater powieści? — Ludzie «nowi», Ży- dzi. — Myśl powieści. — Epizody. — «Lalka» obra- zem społeczeństwa	65
IV. «Emancypacja?» — Prus o «wyzwoleniu» kobiety. — Powieść «Emancypantki». — Co sądzą kobiety w po- wieści Prusa o «emancypacji». — Różne postaci «emancypantek», — Bohaterka powieści. — Użytecz- ność jako hasło i przykazanie. — Zwrot w wyobra- żeniach	90

	Str.
V. Społeczeństwo i czująca jednostka. — Powieść «Faraon». — Warstwy społeczne w «Faraonie», — Co wyobraża nam starożytny Egipt. — Plany Ramzesa. — Jego upadek. — Myśl przewodnia «Faraona»	101
VI. Kiedy poświęcenie się może być grzechem. — Ostatnia rewolucja w Królestwie. — Powieść «Dzieci». — Obrazki z dni rewolucyjnych. — Śmierć Jędrzejczaka. — Czy rozpaczać?	109
VII. Pogrzeb Prusa. — Jak Prus kreślił obrazy społeczeństwa? — Znaczenie cierpienia. — Hasło wszechmiłości. — Na czym polega wielkość Prusa? . . .	131
Dodatek	140
